

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok IV. Łódź, 15-I.
1961 r.
Nr 2 (150)
Cena 1 zł

Odgłosy

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Abyśmy wspólnie odetchnęli

HALINKA TĘSKNI

Na drugiej stronie naszego pisma znajdziecie obrazek. Pomyślcie pewnie — co za kłopot! Obrazek, dlaczego „Odgłosy” publikują tego rodzaju bohemy, stanowczo panowie redaktorzy pokazali bardzo zły gust. A jednak bardzo prosimy — przyjrzyjcie się obrazkowi. Widzicie tę dziewczynkę z lewej strony? Kłęczy na podłodze, przy krześle i próbuje odrabiać lekcje. To ona, dwunastoletnia dziewczynka, namalowała ten obrazek. Nie ma, jak widzicie, szkolnego „durka”, jej matka stoi pod oknem i płacze. Okno gołe. Puste ściany, nawet tradycyjnego „landshaftu” nie ma. Ojciec siedzi przy stole i pije wódkę z kolegą. I to jest realny, rzeczywisty świat Halinki.

Spójrzcie na drugi obrazek. A sama dziewczynka siedzi przy stole ubrana w szkolny mundur, musi bardzo za tym mundurkiem tęsknić, stół przykryty serwetą, na ścianie obraz, firanki w oknach. Nad Halinką poćla się ojciec, pomaga przy odrabianiu lekcji. I to jest nierealny, wymarzony świat dziecka, Tęskni za nim.

BAJKA O RÓWNYM STARCIE

Przeczytałem bodaj setkę wypowiedzi uczniów i uczennic z klas VI—XI na taki temat: „Czy i w jakim stopniu moje warunki domowe pomagają, utrudniają, przeszkadzają w nauce?”. Wypowiedzi jest znacznie więcej, kilkadziesiąt. Teresa nie napisała ani słowa, wolala narysować. Dzieci w roli sędziów swego domu rodzinnego, w roli sędziów ojca i matki — zaiste, niebywała lektura! Przyszycieli jestestmy raczej do sytuacji przeciwniej — to starsi wydziewiają nad młodzieżą, jak przysłowiowe ciabły w ornaty się stroją i egonami dzwonią na mszę za tych chwile, chuligunów, osłów dardanejskich, jakby łaska harmenijnego rozwoju dziecka, czy młodzieńca, spadła z nieba.

No, a dzieci, czy dorastające dziewczęta? Chłopcy? Przede wszystkim nie wydziewiają, żadne z nich nie powiedziało — za moich lat rodzice byli lepsi. Po prostu rzeczowo oceniają swój dom, swoją funkcję w rodzinie. Ich wypowiedzi są polemiczne, sprzeciwiają się optyzmowi niektórych publicystów parających się oświatą i wychowaniem, idą i przekór tam-tamom, które hałasują z okazji każdego otwarcia roku szkolnego, szkoły, przedszkola, boiska, czy pracowni.

Młodzież nie chce słuchać bajki o równym starcie życiowym. Z jej punktu widzenia fakt, iż ma zapewnione miejsce w szkole, wszystkiego jeszcze nie rozstrzyga. O nierówności szans życiowych decydują czynniki pozornie odległe, to tak na oko, jak „śmy mówili o wpływie księżycy na rozwój doróżkarstwa. Na gruncie rzeczy liczba psów i kotów na podwórku, skrzyptów liryc”, dziewczek niedo-rzecznych, kogutów, ludzi przygluchych, którzy nastawiają radia na pełny regulator, maister-klepków walających młotkami do późnej nocy, alkoholików prezentu-

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

CZY POTRZEBNE NAM SĄ „SIŁACZKI“?

Przysłowie ludowe mówi, że przestępce ciągnie na miejsce przestępstwa. Nie popełniłem żadnego przestępstwa, napisałem jednak przed rokiem, wspólnie z Andrzejem Mazurem reportaż pt. „CZTERE WIELKIE SŁOWA I HASŁO”. Była to rzecz o nauczycielach z poddębickiego powiatu. Właśnie do tych ludzi — bohaterów reportażu — ciągnęło mnie od dawna. Jak żyją, co porabiają, co w ich życiu uległo zmianie? Pytania te nie dawały mi spokoju. Wyruszyłem więc w chłodnawy, jesienny dzień z Poddębic przez Baldrychów, Iwonie, Zadzim, Przywidz, Rudniki i Uniejów do Kuczek. Pojechałem na spotkanie z bohaterami naszego reportażu.

BOHATEROWIE SĄ...
PRYZYWICZAJENI.

W Rudnikach spotkałem Olę Walczyk. Obecnie tak się już nazywa. Wyszła za mąż, zmieniła nazwisko i... usposobienie. To chyba nie tylko fakt 250 kilometrowej odległości od męża wpływa na nią tak deprymująco. Znikł gdzieś dawny uśmiech. Stała pod piecem smutna i jakby nieobecna. Zapytana wprost, odpowiedziała:

„Do Rudnik przeniosłam się dla mieszkania i dla światła. Światła nie ma jeszcze do tej pory. Wczoraj

dorośli uczy się na kursie przy naftowych lampach. My też wieczory spędzamy przy lampach. Nigdy nie chciałam pracować na wsi. Ale człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić”.

I Ola Walczyk przyzwyczaiła się. Przyzwyczaiła się też do wsi i do pracy na wsi Marysia Wróblewska z Przywidza. To już nie ta sama osoba, o której pisaliśmy przed rokiem: „...jest entuzjastką. Chce być „Siłaczką”. Marzy o tym, aby uczyć starsze klasy, VI, VII, i móc przez dzieci oddziaływać na wieś.

Z troską wtedy myśleliśmy o jej entuzjazmie, „...czy nie wypali się, czy nie załamie się?”. Niestety, z przykrością stwierdzam, Marysia już się przyzwyczaiła, zrezygnowała z „wielkiej rewolucji”, przygaska, choć nadal troską jej jest, aby przewodniczący GRN nie rozmawiał z nią z rękoma w spodniach opuszczonych do pół brzucha i nie nazywał ją „głupią gęsią”.

Walczyk jak umie o swój autorytet, o autorytet nauczyciela na wsi, chciałaby wychowywać wiejskich dyktarzy. Ale co może poradzić jedna skromna nauczycielka

przeciwko możnemu panu na Gromadzie? Uczy więc nadal Marysia Wróblewska swoje dzieci, uczy ich abecadła i czystości. Przywiązała się do swoich „dzieciaków”, prowadzi o nich dokładne notatki i marzy o studiach historycznych. Chciałaby zostać magistrem historii i uczyć zapewne w szkole średniej. No cóż, to też jest jakaś forma buntu, forma ucieczki poprzez zmianę swojej sytuacji. Bo skoro nie można uciec w dosłownym tego słowa znaczeniu, to można przynaj-

mniej zmienić swoją pozycję, zdobyć wyższe kwalifikacje i wtedy zostać przeniesionym.

Przesadzam. Świadomie nadaję naturalnemu pragnieniu wiedzy inny, wykoncypowany sens, robię to jednak dlatego, żeby pokazać

Dalszy ciąg
na str.
4

Ten numer ma tylko
8 stron. Ale następny, z kolei **151**,
Jubileuszowy, będzie
zawierał **16** stron.
Nie chcemy się chwalić, zobaczcie, co to
za numer i też za 1 zł.

Dalszy ciąg
na str.

2



Fot. Wacław Biliński



OBYSMY WSPOLNIE ODECHNELI

(Dokończenie ze str. 1)

Jacyś co wieczór bogaty repertuar narodowych przyspiewków w dużej mierze określa warunki pracy dziecka, tworzy swoistą otoczkę, która — jak ból zęba — nie pozwala skupić się nad książką.

Ale to są dalsze czynniki, dużo lepiej widzi młodzież, to bliższe. Wystarczy, że nie ma kanalizacji, sklepu w pobliżu, wystarczy, że trzeba nosić węgiel na piętro, dodajmy jeszcze, młodszego braciśzka „z piekła rodem, który drze się i rozrabia”, a już sprawa zadania z algebry staje pod znakiem zapytania.

Wyobraźmy sobie mieszkanie jednoizbowe, a w tym mieszkaniu jeden stół, więcej się nie zmieści. Jest jeszcze dużo takich mieszkań. Wyobraźmy sobie rodziców bardzo towarzyskich. Są tacy rodzice, nie w tym dziwnego, napracują się, więc chcą z sąsiadami pogadać, zagrać w kolejarzkiego preferka na „małe pieniądze”, lubią, żeby radio przy tym brzęczało. A siedzą przy jednym stole. Dziecko odrabia lekcje do północy, a później słyszy, że ojciec z matką żyły sobie wypruwając dla tych niewdzięcznych walkoni.

Równy start jest więc w pewnej mierze, wcale nie bagatelnej, uroczą bajką, ale z tego powodu młodzież nie robi jeszcze tragedii. Tragedia zaczyna się, kiedy mowa o samych rodzicach.

„GDZIE MAM SIĘ SPIESZYĆ?”

Pisze uczeń technikum, chłopiec przed maturą:

W moim kierunku nikt nie idzie. Po wyjściu ze szkoły sam zostaje. Wolnym krokiem, nie spiesząc się, wracam do domu. Bo i gdzie mam się spieszyć — do domu? Do domu w którym nikt na mnie nie czeka, a jeśli czeka, to tylko ojciec, który przeważnie przechodzi pod chmielonny, robiąc mi częstokroć awantury z błahego powodu. A może mam się spieszyć do swego pustego pokoju na poddaszu, który mi ojciec ofiarował przenosząc się do nieznanego mi kobiety... Wchodząc na schody, jak co dzień spoglądam na skrzynkę pocztową, gdzie może leży list od mamy, która rozeszła się z ojcem i mieszka wraz z młodszą siostrą w kramie tykająca jeźdź — na Mazurach. Często wspominam czasy, kiedy jako mały jeszcze chłopiec wracałem z dziećmi, łobuziakowatym wyglądem twarzy ze szkoły, mówiąc, że dostałem czwórki z czytania, a mama uśmiechała się do mnie serdecznie... Ten uśmiech matki wystarczał mi za wszystko.

Proszę mnie dobrze rozumieć. Nie chciałbym zejść na tory dramatycznej publicystyki. Ani mi w głowie szkowanie naszych czytelników wstrząsającymi wyznaniami dzieci niefortunne, choć nie brak tych wyznań. Iżcie o rzecz — daleko ważniejszą i niesłychanie pożyteczną. Nie zastępowaj się jeszcze dom ojców, nie wygasta naturalna potrzeba życia w rodzinie, przedewszystkiem jest mowa o masowych inkubatorach — czy fabrykach wychowywanych dzieci.

Rzecz, moi państwo, charakterystyczna, dziewczęta i chłopcy są ogromnie rodzicom wdzięczni za pomoc w nauce, za własny kąt do pracy, pamiętajmy — odrabianie lekcji trwa często 4-6 godzin. Cieszą się plecami na kino, własną biblioteczką, któryś rzucił się ojcą na szyję i czyści mu buty cały kwartał za to, że rodzic przyniósł mu z fabryki mnóstwo śrubek, drucików, lampek, kondensatorów, miękką blachę, izolatory, dość że starczyło tego na radiodbiornik. Cieszą się, kiedy rodzice szleją radio, żeby uwagi nie rozpraszało, zabierają do teatru, ale dzieci również oskarżają. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się czytać podobnych wypowiedzi.

Nie chodzi mi tylko o wypowiedzi tego typu:

„Bardzo ważną przyczyną, która utrudniała mi zainteresowanie nauką jest to, że ojciec jest bardzo nerwowy i często pije wódkę. W związku z tym często w domu moim są kłótnie i awantury, które bardzo głęboko przeżywam... Często boję się przyjść do domu, gdyż ojciec jest pijany i bez powodu chce mnie bić”.

Przypomina się rysunek Hallinki. Problem niebagatelny. W 1960 roku wydawało w samych izbach 25 tysięcy naszego miasta 25 tys. tatuiów, trzy lub cztery razy tyle trzeźwiał, niestety, w domu. Stąd też wiele dzieci uważa za wielkie szczęście, jeżeli rodzice nie piją i nie urządzają awantur. Rzecz jednak w czym innym. 14-letni chłopiec pisze o swoim ojcu:

„Dla mnie jest bardzo dobry, kupuje mi co tylko chcę. Interesuje się szkołą, co tydzień sprawdza mi dzienniczek. Chce żebym został inżynierem lub lekarzem... Wraca do domu późno, gdy już śpię, mówi, że miał zebranie, albo załatwiał ważne sprawy. Jednak ja mu nie wierzę”.

Nie wierzy ze względu na stosunki z matką. I nie tu nie znaczy fakt, że ojciec zaspakaja wszystkie materialne potrzeby syna, ojciec oszukuje matkę, może jej nie chce, może to zebranie oznacza inną kobietę? Trudno sądzić, co myśli o tym chłopiec, w każdym razie rodzina jest dla niego kategorią nie tylko ekonomiczną, ale i moralną, może nawet przede wszystkim moralną. Znalazłem kilka naciąganych wypowiedzi tego typu, zwłaszcza u dziewcząt, to pożyteczny bunt przeciwko ojcu, wyjaśnia też częste nieporozumienia, prostuje historyczne sądy o anielskim charakterze starszego pokolenia i diabelskim współczesnego nam młodego. Dzielimy się niemoralnością sprawiedliwie.

CZY WY NAS ROZUMIECIE?

Nierówność sytuacji życiowych młodzieży wyznacza więc nie tylko warunki materialne ale i stosunki pomiędzy rodzicami. Dla dzieci, jak wynika z tego co pisałem, właśnie stosunki określają miarę osobistego szczęścia. Interesujące są także propozycje uczniów. Interesujące dlatego, że to się tu jakieś zarzewie buntu, jakieś niezgadzanie się na istnienie

jacyś stan rzeczy w rodzinie i w szkole. Nie są to co prawda propozycje na poziomie akademii nauk, wskazują jednak, że myślenie obywatelskie jest młodzieży bliskie.

No więc — nie ma zgody z rodzicami w sferze koncepcji życia młodego człowieka w wieku szkolnym. „Zrozummy — pisze 17-latek — że młody człowiek ma trochę inny pogląd na świat i należy to brać pod uwagę. Będziemy się uczyć, ale chcemy mieć prawo do pełnego życia. Niekiedy nie zdajemy sobie sprawy, że ojciec zwraca się do syna lub córki: „teraz masz się uczyć i koniec. Na zabawy i na inne rzeczy będziesz miał czas jak skończysz szkołę”. Przepraszam, my chcemy i możemy się uczyć, ale pozwólcie nam na inne zajęcia. Chcemy tańczyć, sportować się, grać w piłkę, rozwijać swoje różnorodne zainteresowania itp. Przypomnijcie sobie, czy żaden z Was nie miał sympatii do gimnazjum? Czy żaden nie zajmował się namiętnie sportem, nie uczęszczał na wieczorki tańcujące? Dlaczegoż więc potępiać nas za to?”

Bardzo mi się ten młodzieńcy podobają, byków zupełnie nie robi i protestuje przeciw szablonej koncepcji ucznia, chce wyskoczyć choć na trochę ze szkolnego mundurka. Bo też rodzice, często i te bardziej zasuszone belfry uważają, że kiedyś zgodnie z konstytucją przekroczył w śladym roku życia próg szkoły — porzuć wszelkie nadzieje na rozwój naturalnych zainteresowań, będziesz miał też tylko, na które pan profesor pozwoli i zgodzi się tatui z mamusią. I tak, bracie, przez kilkanaście lat jeżeli brnieś aż do matury. Gdybyś to współczesna rodzina, a zwłaszcza szkoła proponowały szeroki wachlarz zainteresowań! Tak przecież nie jest.

No, dobrze, coż tedy żądnym (i słusznym) wrażeń młody człowiek postuluje? Jak Ci wyzbogacić życie? Zgadza się, siedzisz 5-6 godzin w szkole i drugie tyle dukasz nad książką, wiemy, kłopotliwe życie.

Jeden z reformatörów, uczeń klasy IX tak sobie wyobraża zmiany na lepsze:

„Myślę często nad tym, czy np. nie można by było zlikwidować lekcji w domu, czy nie można by było systematycznie zabudować w ten sposób, że zniknęłoby pojęcie „praca w domu” i pracę tę przełożono na szkołę, na zajęcia w coraz piękniejszych i lepiej wyposażonych szkołach. Nie chcę nie mówić, ale odetchnęliby wszyscy uczniowie, a godzinę zginęła się nad stołem przy nieodpowiednim nierzadzie światła, użytkowaliby na sport, na rozrybek kulturalne i odpoczynek, a nauka stałaby się nie smutną koniecznością a przyjemnością i to przyjemnością pożyteczną”.

Ja też nie chcę mówić, ładnie nas „zażył z matką” kolega reformatör. Nas rodziców, my byśmy też odetchnęli, to byłoby dobrze właśnie dla rodziny, najczęstiej zapracowanej, spragnionej odpoczynku i rozrywki. Ale ta reforma, możliwości jej realizacji i wszystko inne, co pisałem o stosunkach pomiędzy rodzicami i dziećmi, to sprawa dyskusyjna, do której serdecznie zapraszam.

WIESŁAW JAŁDZIŃSKI

Szekspirolog radziecki o „Juliuszu Cezarze” Dejmka

W dniach 5 i 6 stycznia br. w Łodzi bawiła grupa radzieckich pisarzy i krytyków teatralnych. Przy powitaniu gości przez przedstawicieli łódzkiego świata kultury byli również obecni przedstawiciele prasy, którzy w swoich komunikatach pominęli — prawdopodobnie przez przeoczenie — głównych inicjatorów, literatów, ponieważ goście przyjechali do Polski na zaproszenie Związku Literatów Polskich. Tymczasem koledzy z Oddziału Łódzkiego ZLP nie tylko witali gości, lecz towarzyszyli im później, gdy, przyjeżdżając już po godzinie szóstej, pisarze radzieccy udali się wprost do Teatru Nowego na przedstawienie Juliusza Cezara. Po przedstawieniu dyrektor Kazimierz Dejmek zaprosił gości do siebie, gdzie kilka godzin upłynęło na ciekawej rozmowie przy czarnej kawie. Goście podzieliли się i swymi wrażeniami z tego wieczoru. Jeden z nich Jewgienij Danilowicz Surkow, członek kolegium redakcyjnego organu Związku Pisarzy Radzieckich „Literaturnaja Gazieta”, jest autorem książki o Czechowie i dramaturgii radzieckiej, a ze swoich szczególnych zainteresowań — szekspirologiem (wydał niedawno pracę o teatrze szekspirowskim w Anglii, obecnie zaś przygotowuje książkę o losach repertuaru szekspirowskiego w Europie opartą na osobistych wrażeniach z podróży po różnych krajach). O teatrze Dejmka usłyszeliśmy następujące jego zdanie:

— Przedstawienie, które oglądaliśmy przed chwilą należy niewątpliwie do najsławniejszych w europejskim repertuarze szekspirowskim. Takie ujęcie Juliusza Cezara oczywiście jest dyskusyjne. Jak wszystko, na czym wywiera swoje piętno wybitna indywidualność, nie pozbawione



ona jest pewnej skrajności w koncepcji, z którą nie każdy się zgodzi, niemniej uderza w nim zadziwiająca siła wyrazu. Talent Dejmka zaskakuje przede wszystkim niezwykłą plastycznością wizji dramatycznej. Wykorzystuje on warunki aktora i jak rzeźbiarz buduje swoje kompozycje sceniczne z dokładnością matematyczną i odprężającą poety. Język inscenizacji Dejmka jest klasycznie przejrzysty i prosty. Nie wiem co tu przeważa — energia, pasja czy zimne wyrachowanie? Wydaje mi się jednak, że sztuka Dejmka jest syntezą tych właśnie pierwiastków twórczych. Z radością witamy w jego osobie wybitnego artystę sceny. Z jego twórczością powinien zapoznać się każdy prawdziwy miłośnik teatru.



KONIE LIZYPA

Telesy Zenona Kosidowski, autora dwóch książek („Królestwo złotych łez” i „Gdy słońce było bogiem”), które cieszyły się znacznym powodzeniem, warte są prawie zawsze przeczytania. I tym razem więc trzeba polecić uwagę czytelników w ostatnim numerze „Dziennika Świata” wydrukowaną powieść Kosidowskiego o czterech odważnych w brzoje koniach, zdobywcach plac św. Marka w Wenecji. Konie Lizy — sobie już około 2300 lat, pochodzą więc gdzieś z IV wieku p. n. e., a wyrzeźbił je — tak przynajmniej twierdzą niektórzy — sam wielki Lizy. Przez osiem stuleci brązowe rumaki Lizypa stanowiły własność miasta Chios, okrutny los (a raczej okrutna historia) nie oszczędził ich wszakże, w roku 447 naszej ery konie powędrowały do Konstantynopola, a potem — zrabowane przez krzyżowców — znalazły się w Wenecji. Ich brązowe trwanie zakłóciło jeszcze — na chwilę, nie na długo — Napoleon, który po wkroczeniu do Wenecji w czasie kampanii włoskiej, kazał konie przewieźć do Paryża. W roku 1815 wróciły one wszakże na plac św. Marka.

Tyle Kosidowski. Po przeczytaniu jego tekstu warto pomyśleć chwilę o losie Lizypowych koni. Zdobywcę koło Chios, Konstantynopol, Wenecję i Paryż, będące przedmiotem pożądania zwycięzców, przewożone na kruchych statkach ludzi przez morza Kontynentu, odwiezione i wzięte wędrujące, a przecież pamiętające czasy i wyspy, na których kształtowała się kultura królestwa morskiego, są na pewno czymś w rodzaju symbolu naszej cywilizacji. Cywilizacja nie są — wszakże wieczna i mieszkańcy

Atlantydy także zapewne byli przekonani o niezniszczalności cywilizacji, którą stworzyli, i w której żyli. Opowieść o brązowych koniach Lizypa będzie zapewne miała zakończenie.

„Na temat ich przyszłych losów — pisze Kosidowski — można by różne fantazjować. Tak na przykład wiadomo, że Wenecja zanurza się powoli w błoto otaczających ją lagun. Stare mury pękają, niektóre wieże niepokojąco się przechylają, poziom wody w kanałach podnosi się powoli, ale niepowstrzymanie, Plac św. Marka często zalewa powódź. Inżynierowie robią co mogą, by powstrzymać ów nieubłagany proces, w fundamenty wstrzykują beton i umacniają go wieżami stalowymi ankrami. Ktoś obliczył, że jeżeli nowoczesna technika nie odkryje radykalniejszych sposobów, za kilka stuleci poziom wielkiego kanału podniesie się do tego stopnia, że woda sięgnie trzeciego piętra przyległych domów, a katedra św. Marka wystawał będzie z lagun tylko swoimi kopułami. I coż stanie się wtedy z rumakami Lizypa?”

LUDZIE PREZYDENTA

Za kilka dni, bo już 20 stycznia kończy się w Stanach Zjednoczonych okres bezrządu, w Białym Domu obejmie urządowanie nowy prezydent, w fotelach ministerialnych zasiądą nowi ludzie. Kim są ministrowie rządu Johna Kennedy'ego? Na to pytanie odpowiada w ostatnim numerze „Polityki” Stefan Wilkosz w artykule „Drużyna nowego prezydenta”. Artykuł Wilkosza godny jest polecenia, „można się spodziewać, że wiele niespodzianych pomysłów i intryg powstanie w najbliższych latach w bocznych biurach Białego Domu”, pisze autor, warto więc wiedzieć już dziś, kim będą autorzy owych pomysłów.

„Przebiega uleku tego rządu — pisze Wilkosz — wynosi 47 lat, podczas gdy w rządzie Eisenhowera jest to 37 lat. Drużyna Kennedy'ego reprezentuje zupełnie inne pokolenie Amerykanów. Nie pamiętają oni na ogół

pierwszej wojny światowej, a następnie są to ludzie, którzy przeżyli wielki kryzys lat 1929-32 jako niemal dzieci. Nie byli oni jeszcze świadomymi świadkami dwunastomilionowej katastrofy bezrobocia, nie rozumieli wymowy marszów głodowych na stołec Stanów Zjednoczonych, nie zbierali na ulicach niedopałków i nie szukali resztek jedzenia w śmieciach. A druga wielka różnica — to stosunek do drugiej wojny światowej. Ludzie Eisenhowera byli prawdziwie w czasie wojny bądź kierownikami produkcji wojennej, bądź kierowali pracą sztabów i urzędów, a ludzie Kennedy'ego przeżyli wojnę w stopniu porucznika czy kapłana w pierwszych liniach, siedzieli w okopach, latali nad Niemcami czy Japonią — jednym słowem zetknęli się oko w oko z wojną. Być może nie zapomnieli jej jeszcze”.

Beda to więc ludzie rzeczywiście nowi, choć ich pozycja społeczna nie różni się zapewne zbyt wiele od pozycji poprzedników z rządu Eisenhowera. Oto stosowna informacja z artykułu Wilkosza:

Kennedy — „wartość” ponad 100 milionów dolarów, Dillon — współnik ogromnej firmy bankowej Dillon Read and Co oceniany jest na 70-80 milionów. Williams (podsekretarz Stanu ds. spraw Afryki) — współwłaściciel wielkiej wytwórni mydła do golenia i artykułów kosmetycznych „Mennen” — ma tylko kilkanaście milionów. Hodges — minister handlu — emerytowany przemysłowiec wóklenniczy — wartość podobna.

A oto najzabawniejsza z tych informacji:

„Mc Namara — minister obrony — to prezydent Forda, a uposażenie jego w ubiegłym roku wyniosło 410 tysięcy dolarów. Nie znamy rozmiarów jego majątku, prócz udzielenie przez niego samego informacji, że przyjęcie stanowiska w rządzie (ponoś 25 tysięcy dolarów rocznie) kosztować go będzie 3 miliony dolarów strat w ciągu czterech lat”.

ERAZM

JEST TEŚCIOWA i ZIEĆ

Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI
Tekst: JAN BEZZIEMI



Co robiła teściowa w czasach sanacji — wiadomo! Litania czarnych epitetów na określenie jej charakteru, wyglądu, funkcji jest długa. Sanacyjny katechizm obyczajowy uczył: — Dlaczego Adam żył tak długo? — Ponieważ nie miał teściowej — brzmiała poprawna odpowiedź. A dziś? Dziś teściowa doczekała się pełnej rehabilitacji.



Gdy zajdzie potrzeba, można ją posłać do kiosku po gazety, piwo. Znajdzie tam sekundę wytchnienia. Zięć w tym czasie wyciągnie się na łóżku lub tapeczanie.



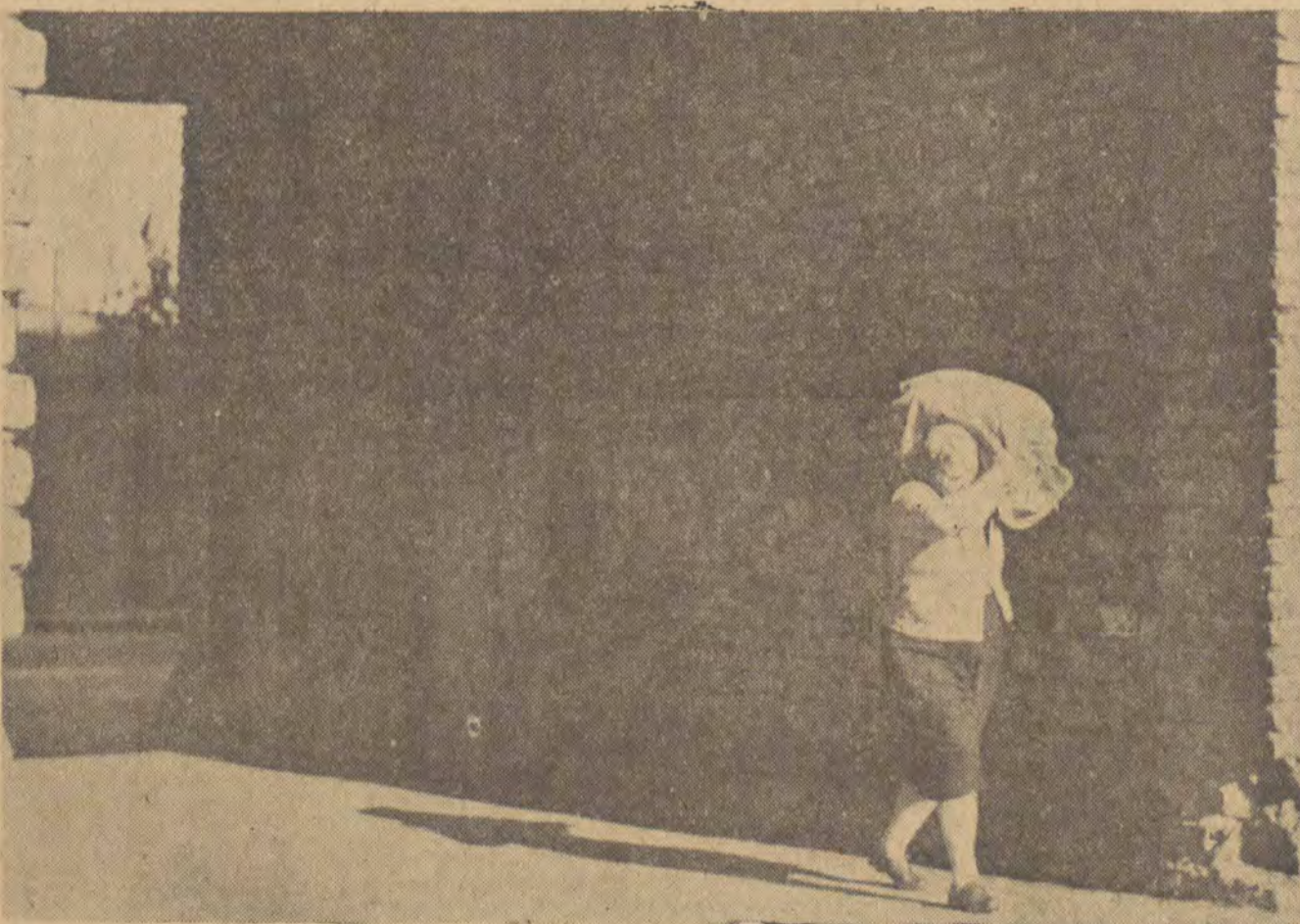
Kiedy matka z dzieckiem pójdzie do przedszkola, na jej głowie i rękach pozostanie cały dom...

„TESCIA SWOJE, TO JEST MATKĘ MEZA SWEGO, CIERPLIWOSCIĄ MIĘK- CZYLA...” Były czasy, że królowała. W ustroju wspólnoty pierwotnej, w którym podstawa produkcji była wspólna własność środków produkcji, mogła być czanowana... jako wspólna dla porządku. Różnie już bywała w ustroju niewolniczym. Błaski i cienie przeżywała w feudalizmie. W Polsce zresztą, ta sprawa przedstawia się bardzo niejasno. Rządzili królowie, a królami królowe. Od Mieszka I do Poniatowskiego i carcy Katarzyny. Dalszej historii nie cienne, bo to niebezpieczne, mądrzejsze dążyć do własnej zony.

W Łodzi jest przypuszczalnie ok. 35 tys. teściowych. Kim lekkomyślnie się naraż?



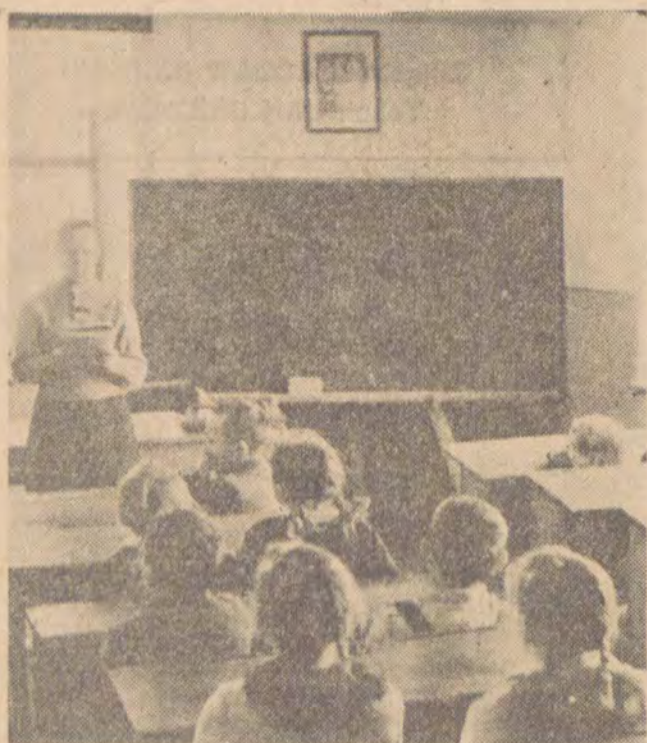
Przyniesie wody ze studni podwórzowej, ugotuje obiad.



Czasami posłuży za wytrawnego tragarza.



Zajmie się dzieckiem... Jak widzimy, nie jest tak źle. W Polsce ludowej instytucja teściowych jest bardzo szanowana i ma bardzo korzystne warunki rozwojowe. Zięciowie, następują renesans tej szlachetnej instytucji. Uważajcie!



**CZY
POTRZEBNE
NAM SĄ
„SIŁACZKI”?**



tym bardziej beznadziejność pewnych sytuacji. Bo bądźmy szczerzy, każda z tych młodych dziewcząt, z którymi rozmawiałem, marzy o zmianie swojej sytuacji. Jedne próbowały przenieść się w inne miejsce, jak np. Halina Kazimierzak z Kuczek, ale mając do wyboru zainicjować „jedną dziurę na drugą”, rezygnowały i przyzwyczajały się. Niewiele z nich próbowało, jak np. Irena Wolska z Iwonía, pracy w środowisku, zmiany swojej sytuacji poprzez zmianę środowiska, poprzez zmianę zastawów warunków

Napisałem i trochę się przeraziłem. Bo, a nuż ktoś zrozumie to jako powrót do postawy organicznikowskiej, jako nowy zaciąg „silaczek”. Tymczasem mnie chodzi o coś zupełnie innego.

RZEMIEŚLNIK I SPUTNIKI

Postawmy sobie dziwne na pozór pytanie: kto to jest nauczyciel? Daramale jednak będziemy szukać wyczerpującej i ścisłej odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedzi takich — podejrzewam — będzie tyle, ilu będzie odpowiadających! Nawet pragmatyka, określająca obowiązki i prawa nauczycieli nie odpowiada bezpośrednio na te pytania. Mówi się tam (Ustawa z dnia 27 kwietnia 1956 r.), że „nauczycielem może być osoba posiadająca przepisaną kwalifikację” (art. 4) i że „zadaniem nauczyciela jest wychowywać dzieci i młodzież na ideałach, wykształconych i kulturalnych obywateli, patriotów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, oddanych sprawie budownictwa socjalizmu i pokoju. Aby wykonać te zadanie, nauczyciel obowiązany jest:

Fot. Wacław Biliński

— troszczyć się o zdrowie
i bezpieczeństwo młodzieży
powierzonej jego opiece.

- dbać o godność i przykłądną postawę moralną wychowawcy młodego pokolenia,
- systematycznie podnosić swój poziom ideologiczny, naukowy i zawodowy,
- współpracować z rodzicami uczniów i środowiskiem społecznym" (art. 3).

To wszystko, ale to nie jest odpowiedź na społeczny sens postawionego pytania. Kto to jest nauczyciel? Czy to jest tylko rzemieślnik — tu w znaczeniu fachowiec — nauczający w szkole, czy jest to apostoł, zwłastwn wyższej kultury, cywilizacji i w ogóle tych rzeczy? Która z alternatyw jest rzeczywista i odpowiada prawdzie i istniejącej sytuacji. Bo powiedzmy sobie od razu, że w połączeniu obu upatrznie niepozwolenie wielu nauczycielskich poczyniń i przyczynę wielu porażek.

Jest w naszym społeczeństwie męt o nauczyciela. Jest to męt spopularyzowany przez naszą literaturę. Krańcowym tego mętu przykładem jest „Silaczka”. Nie też dziwnego, że jedna z naszych



a stanem jakiej zastał na miejscu. W dodatku wszyscy w koło bebnia, że to tylko od niego zależy czy w danych Kuczkach np. coś ulegnie zmianie, w tym właśnie tkwi całe nieporozumienie.

Powiedzmy więc sobie wreszcie, kim jest nauczyciel? Jest to rzemieślnik (w dodatku) sensie tego terminu) odpowiednia przysługująca do nauczania i wychowywania młodzieży i dzieci w szkole i tym podobnych zakładach wychowawczych. To wszystko. Ańż słowa o jego misyjnej misji kulturalnego apostoła. Bo taka misja nie istnieje, albo - żeby być ścisłym nie spoczywa tylko i jedynie na nim. Nie można się bowiem nie liczyć z faktami, a fakty mówią, że rzeczywistość, w której przyczodzi pracować nauczycielowi daleka jest od doskonałości.

Wzemy dla przykładu powiat poddebski. Powstał on w r. 1950 z najgorzej rozwiniętych skrawków trzech innych powiatów. Jest to powiat bez przemysłu, rolniczy, biedny i przez długi czas zaniedbywany. Dopiero od chwili je-

cy i życia kulturalnego nauczycieli, warunki życia pozostałych warstw ludności są w zasadzie gorsze, nie wszyscy bowiem potrafia i chcą z istniejących możliwości korzystać. W takiej sytuacji zrozumiałym wydaje się postulat pracy w środowisku. Pracy nad doskonałeniem tego środowiska, nad jego przeobrażeniem, nad podniesieniem jego poziomu kulturalnego, a co zatem idzie i nad jego doskonałeniem zawodowym i ogólnym. Taki postulat wydaje się więc zrozumiały i naturalny, ale niezrozumiałe dla mnie jest to, że postulat ten dotyczy jedynie nauczycieli, że nie postuluje się utworzenia na wsi i w małym miasteczku wspólnego frontu miejscowej inteligencji. Jest bowiem niedobre, że w pracy ze środowiskami widzi się jedynie nauczycieli, nie widzi się agronomów, zootechników, lekarzy, pracowników GS-u i wszystkich innych, których wspólne wysiłki mogłyby wiele zmienić na wsi.

**DIALEKTYKA PRZEMIAN
RZECZPOSPOLITEJ
NAUCZYCIELSKIEJ**

Gdybym poprzestał na tych uwagach i spostrzeżeniach, popełniłbym wielki grzech. Poddebicka rzeczywistość nie składa się bowiem z samych tylko nega-

tywów. Najlepszym tego przykładem jest szkoła w Baldrzychowie, gdzie pracy jest wiele, gdzie nauczyciele i uczniowie byli już na „Kryżakach“ w Łodzi, a niektórzy nauczyciele byli nawet na występach baletu radzieckiego (!), gdzie w każdej nauczycielskiej rodzinie jest motor i radio, i gdzie w kancelarii szkoły stoi telewizor wypożyczony co prawda przez Zarząd Powiatowy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Podgębicach.

Poprawę warunków materialnych nauczycieli można znaleźć w Zadzimiu, gdzie Maria Truszczyńska przeniosła się już z mokrego mieszkania do suchego i gdzie debutowano dla kierownika mieszkanie przy szkole.

Poza tym wielu nauczycieli dokształca się, jeżdżąc do Łodzi i Piotrkowa na konsultacje, choć komunikacja nie najlepsza i do przystanku nierzadko daleko.

To są wszystkie zmiany na lepsze. To są wszystkie zmiany, które zawdzięczają nauczyciele zrozumieniu ich sytuacji przez władze, staraniom Związku i własnym

"I. zyszków", bo i odbywały się w Łodzi konferencje, po których wszyscy poszli do teatru, bo i Związek stara się o bilet - do teatru i każdy kiedy tylko może wyrwa się do wielkiego świata. Wszystko to jednak jest staroswieckie, jakies takie bardzo nieporadne, bardzo prowincjonalne i co tu mówić, krzywdzące nauczyciela. Dlaczego? Dlatego, że w ten sposób traktuje się go jak tego małego, "biedaczynę bożego", bo nie dąży się do stworzenia autentycznego środowiska kulturalnego w małym miasteczku i na wsi. Środowiska, które byłoby zaprzeczeniem geita nauczycielskiego, i które miałyby własne potrzeby. Bo w tej chwili to nawet nie wiadomo czego ten nauczyciel chce. Chce teatru ale jakiego, z jakim repertuarem? Chce kina, ale jakiego, jakich filmów pragnie? Czy pragnie tylko teatru w ogóle, kina w ogóle, czy zadowala go sam fakt kupienia biletu i zajęcia miejsca na sali, co daje mu przedsmak „prawdziwego życia”? Jeśli tak, to to wszystko nie ma najmniejszego sensu i jest karykaturą, prowincjonalnym snobizmem. A przecież chyba nie o to chodzi. Przecież chodzi chyba o danie nauczycielowi i pozostałym członkom małomiasteczkowej i wiejskiej inteligencji odpowiedzi na te wszystkie pytania, które ich nurtują. Na które chcieliby otrzymać odpowiedź. Zaczynijmy tworzyć na wsi i w małych miasteczkach front ludzi, którzy zaczęliby tam działać, którzy wniesliby tam trochę życia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Dzieje łódzkich fortun (V)

COŚ SIĘ PSUJE W PAŃSTWIE DUŃSKIM...

W Łodzi swego czasu kursowała dość charakterystyczna anegdota o przedostatnim prezesie firmy SA „Ludwik Geyer”, Eugeniuszu Geyerze.

Otóż zdarzyło się, że pan prezes wybierał się na urlop, był już spakowany, przed wyjazdem jeszcze udał się na przechadzkę po swoim parku. Naraz podbiegł do niego zdyszany, przerażony jeden z urzędników firmy.

— „Panie prezesie, nieszczęście: fabryka się pali.

A na to Geyer: Nie wiem, durniu o tym, że jestem na urlopie? Niech się pali...

Anegdota powyższa nie tyle charakteryzuje olimpijski spokój Eugeniusza Geyera, co dobrze zorganizowany system asekuracji.

Ludwik Geyer — założyciel, zapewne nie okazał takiego spokoju, gdy zaalarmowano go okrzykiem: fabryka się pali! Było to 9 grudnia 1853 roku, w czasach gdy jeszcze żaden z fabrykantów „dla poprawienia bilansu” nie podpalał własnej fabryki, jak to odbywało się 40 lat później. Pożar był wtedy prawdziwym nieszczęściem, gdyż Towarzystwo Ogniowe wypłacało jedynie połowę wartości spalonych obiektów. Może właśnie dlatego pan Ludwik Geyer czuł taką awersję do systemu asekuracji przeciwpożarowej, bo dopóki mógł, to w ogóle nie ubezpieczał fabryki. Dopiero gdy Bank Polski udzielił mu pożyczek, jego przedstawiciele stanowczo zażądali, by Geyer ubezpieczył zakłady, które stanowiły przecież jedyną gwarancję udzielonych kredytów. Pan Ludwik Geyer był na tyle lekkomyślny, że wbrew poleceniu Banku Polskiego ubezpieczył poszczególne obiekty na bardzo niskie kwoty. Maszyny parowe, na przykład, w ogóle nie chciał ubezpieczyć, tłumacząc, że jest przecież z żelaza, więc się nie spali.

I naraz takie nieszczęście. Co prawda, pożar oszczędził główną część fabryki, tj. przedział, ale spłonęła cała tkalnica, drukarnia perkali-ków, farbiarnia. Cały budynek fabryczny Geyer ubezpieczył na śmieszna zgola kwotę 7 250 rubli, gdy za same maszyny tkackie zapłacił Cockerillom znacznie więcej.

W dwa lata później Geyer napisał podanie do Rady Administracyjnej o odroczenie na rok spłaty pożyczki, bo „od czasu pożaru bieg moich interesów został wstrzymany”.

A jednak nie pożar stał się początkiem końca Ludwika Geyera. Skutki pożaru zlikwidował dość szybko. Już w 3 miesiące później tkalnica rozpoczęła pracę w nowo odbudowanym budynku. Oczywiście kosztowało go to sporo, najważniejszy wpływ kapitałów nastąpił jednak rok wcześniej.

W 1848 roku Geyer znalazł się u szczytu swej potęgi. Zatrudniał 635 robotników, dysponował 20 394 wrzecionami, 3 maszynami parowymi o łącznej sile 120 koni mechanicznych, wartość jego produkcji wynosiła 415 tys. rubli srebrnych. Przynosiło mu to zysku jakies 50 tys. rubli rocznie (310 tys. złp.), a

przecież jego cały majątek w 1833 roku wynosił 143 tys. złp.

W następnych latach coś się jednak zaczęło psuć w „państwie duńskim”. Geyerowi przybyli w Łodzi konkurenci: Lande, Moes, Grohman, Peters, w reszcie w 1854 roku Karol Scheibler założył nowoczesną przedziałnię. Tymczasem maszyny Geyera zestarzały się... Sprowadzona od braci Cockerill w 1838 maszyna parowa w pięćdziesiątych latach była już przestarzała, a pan Łącki z Banku Polskiego powiedział o niej, „że jest warta tyle, ile zawiera w sobie żelaza na przetopienie”. Wybuchła wojna krymska, co też fatalnie odbiło się na interesach pana Ludwika.

W tym stanie rzeczy rzucił on na nową dziedzinę działalności: cukrownictwo. W swoim majątku Ruda Pabianicka, który jak pamiętamy z takim trudem przyszło mu nabyć, Geyer początkowo

w Turku, która miała odpowiednie umowy z plantatorami. Wkrótce okazało się, było to zresztą podczas jednego z nieurodzajów, że pan Geyer zamiast 700 tys. korców buraków, przerabia jedynie 48 tys. Być może jednak, że mimo tych trudności z biegiem czasu cukrownia w Rudzie zaczęłaby przynosić spodziewane profity, gdyby Geyer nie popełnił podstawowego błędu. Błędu, który zdecydował o jego upadku.

Sięgnijmy po przykład z dziedziny militarnej, gdyż nasuwa się wyraźna analogia. Wódz naczelny, dobry strateg, który nie tylko chce wygrać jedną bitwę, ale i całą wojnę, wie, że musi również pamiętać o odwodach, rezerwach. Nie wolno mu rzucić wszystkich swoich sił na plac boju od razu. Ludwik Geyer w bitwie o pomnożenie swojego miliona rubli zapomniał o tej regule strategii. Rzucił się na cu-

oraz Banku Polskiego dzieląc ich zdanie względem potrzeby zaprowadzenia w moich zakładach więcej szczegółowej jak dotąd buchalterii, a to w takim sposobie, ażeby stan moich zakładów i obrót moich funduszy każdego czasu mógł być sprawdzonym i wiadomym, składam niniejszą do protokołu tychże delegowanych deklarację iż buchalterię taką... jak najprędzej zaprowadzić u siebie nie omieszkać”.

Nie musiało jednak Geyerowi tak bardzo na tym zależeć, aby stan jego funduszy „każdego czasu mógł być sprawdzonym i wiadomym” jeśli doszło aż do tego, że Bank musiał posłać własnego buchaltera, by prowadził rachunkowość Geyera. Dzięki temu właśnie możemy poznać tajniki jego kasy.

Już zakup maszyn Cockerilla był poważnym wstrząsem dla finansów p. Ludwika. Uratowały go wówczas kredyty Banku Polskiego. Do 1853 roku Geyer płacił procenty dość regularnie, chociaż nawet i w tym okresie Bank nie był z niego zadowolony jako z klienta. Raz doszło nawet do tego, że gdy Geyer nie wykupił weksli w terminie, Bank nie wydał mu bawelny, która przychodziła do jego składów i przez 3 miesiące Geyer musiał kupować bawelnę u swojego konkurenta Schlössera w Ozorkowie. Mimo tych zatargów

nak nie tylko nie wpłacił na konto Banku Polskiego ani kopiejki, ale zażądał rozłożenia tego długu na 20 rat półrocznych i nowych 100 tys. rubli pożyczki. Bank stracił wówczas cierpliwość, oddał sprawę do sądu i uzyskał nakaz egzekucji w ciągu 24 godzin.

Z Ludwikiem Geyerem sprawa nie była jednak tak prosta. Siadł on do biurka i zaczął pisać sążniste memorjały do różnych władz, skarżąc się, że Bank postępuje z nim „jak gdyby był ostatnim bankrutem”. Czego nie było w tych listach. List do Rady Administracyjnej na przykład tak kończył: „To więc o co proszę jest nie dla mnie, ale dla oczenia od nędzy i upadku tysięcy rodzin miasta Łodzi”. W innym znowu liście Geyer powoływał się na swoje „tyloletnie zasługi poniesione dla przemysłu, kraju i ludzkości”.

Listy te jakiś skutek odnosiły, bo zamiast wystawienia na licytację zakładów geyerowskich, Bank powoływał różne komisje które miały stwierdzić, czy zakłady Geyera stanowią realne zabezpieczenie długu bankowego.

Najpierw wypowiedział się prezydent Łodzi Traeger, oczywiście w samych superlatywach, donosząc Bankowi, że zakłady Geyera można zaliczyć do pierwszych w kraju i najlepiej zarządzanych.

że dług ma pełne zabezpieczenie, a udzielenie nowych pożyczek Geyerowi to dwie zupełnie różne sprawy.

Dlatego też zjechała do Łodzi nowa komisja złożona z funkcjonariuszy Banku, która miała zdecydować: dać czy nie dać Geyerowi nowe 100 tys. rubli. Komisja obradowała w dniach od 22 listopada do 1 grudnia 1860 roku, można powiedzieć, tuż za ścianą pana Ludwika Geyera. Kilka lat temu bowiem sprzedał on Bankowi za 72 tys. rubli jeden ze swoich placów, przy Głównym Rynku na skład towarów. Teraz właśnie w biurze tego składu obradowali panowie: rzeczywisty radca stanu Łącki, radca stanu Belza, komisarz Rawicz i Schlösser.

Bardzo musiał się nasz bohater za ścianą denudować, co też komisja uradzi. Wiedział, że nie jest życiowie do niego ustosunkowana, bo w swoich dotychczasowych kontaktach z Bankiem nie wywijał się przecież najlepiej. Nie, pan Ludwik nie miał zresztą żadnych wyrzutów sumienia, skądże znowu? Tak po cichu myślał nawet sobie, że ci hrabiowie — dyrektorzy Banku to więksi złodzieje niż on. Przecież nie tak dawno wiceprezes banku, hrabia Lubieński za milionowe malwersacje został skazany na osiedlenie w Sybirze, a jego dzieci musiały nawet opuścić pałac Bieleńskich w Warszawie. Wiedział, że Bank Polski jest poniekąd „rodziną instytucją”, gdzie kredyty daje się swoim ludziom. On niestety nie należał do „rodziny”, z tymi polskimi hrabiami nie go nie łączyło, oprócz wzajemnej pogardy.

Na posiedzeniu komisji nie mówiono jednak o sympatii lub antypatii do Geyera, lecz trzeźwo kalkulowano. Radca Łącki przede wszystkim kwestionował szacunek dokonany przez komisję rzeczoznawców majątku Geyera. Przyznał, że jest prawnikiem, że na ksiązkach handlowych się nie zna i tu u Geyera nawet do nich nie zaglądał, technikiem też nie jest, ale wiele w swoim życiu widział zakładów fabrycznych. I dlatego ośmiela się twierdzić, że maszyny Geyera są tyle warte co złom, bo kto je kupi, a tymczasem ich szacunek został oparty na fakturach zakupu. Inni członkowie nieuzupełnili się z nim zgadzali, w jednej sprawie byli jednak jednomyślni: żądana przez Geyera pożyczka na pewno nie zostanie zużyta na rozruch przedsiębiorstwa, a pójdzie na spłatę długów i to nawet nie wszystkich. Mogą mu dać te 100 tys. ale pod zastaw towarów, zatrzymując mu bawelnę na 8 dni, tyle co trzeba do produkcji.

Interesy Geyera znajdowały się jednak w coraz gorszym stanie. Nie tylko, że dalej nie płacił procentów, ale wysunął nowe żądanie — by Bank mu pozostawił dwa lata wolne od spłaty długów.

Geyer pisał listy do gubernatora cywilnego w Warszawie, do namiestnika, Rządu hrabiego Lambert, do Naczelnika Rządu margrabiego Wielopolskiego — wszystko jednak tym razem na nic, bo w październiku 1862 roku Dyrektor Główny Komisji Skarbu i Przychodu zażądał, aby Bank natychmiast wszczął kroki egzekucyjne. Zaszły jednak wydarzenia, które odsunęły na chwilę widmo bankructwa przed Ludwikiem Geyerem.

Wybuchło powstanie styczniowe.

GEYEROWIE



prowadził uprawę roślin, potrzebnych do produkcji farb. Teraz w tejsze Rudzie (w 1852 r.) uruchomił olbrzymią cukrownię, o 12 centrifugach, zdolną do przerabiania 700 tys. korców buraków. Według planów Ludwika Geyera cukrownia ta miała przynieść blisko 70 tys. rubli czystego zysku, a więc więcej niż zakłady bawelniane.

Na cukier zaistniała hośsa, rząd popierał budowę cukrowni, a Ludwikowi Geyerowi udało się nawet uzyskać na ten cel z Banku Polskiego dwa razy po 50 tys. rubli, które miał spłacić w ciągu 3 lat.

Tym razem jednak rozmach Ludwika Geyera zawiodł na całej linii. Cukrownia stała się przysłowiową beczką bez dna, w której tonęły kapitały. Fakty wskazywały, że Geyer nie był dobrym fachowcem branży cukrowniczej. Zaczniemy od tego, że Ruda Pabianicka nie bardzo się nadawała na miejsce budo- wy tak wielkiej cukrowni. Była oddalona od terenów uprawy buraka cukrowego i transport pochłaniał moc pieniędzy, bo surowiec sprowadzano aż z sandomierskiego. Aby w ogóle zapewnić sobie dostawę buraka cukrowego Ludwik Geyer musiał wydzierżawić jeszcze cukrownię

krowniowo, nie mając odpowiednich rezerw kapitałowych.

Musimy teraz trochę wtargnąć w najtajniejsze sekrety pana Ludwika, zajrzeć do jego ksiąg handlowych. Nie jest to łatwe zadanie. Bowiem oprócz wymienionej już awersji przeciwpożarowej Ludwik Geyer żywił chyba jeszcze silniejszą do... buchalterii. Wydaje się, że Potempa i Markleim, jak pamiętamy, buchalterzy Geyera, mieli przykazywane tak prowadzić ksiągki handlowe, aby nikt z nich nie mógł się dowiedzieć. A w żadnym już wypadku kontrolerzy Banku Polskiego. Od samego też początku sprawa prowadzenia ksiąg handlowych była źródłem konfliktów między Geyerem a przedstawicielami Banku Polskiego. Jeszcze w 1838 roku Bank Polski udzielał Geyerowi pierwszych kredytów zażądał od niego prowadzenia ksiąg rachunkowych według zasad buchalterii kupieckiej. Oczywiście kredytobiorca solennie przyrzekał, słowa jednak nie dotrzymał, gdyż w 1843 roku Bank znowu żąda od niego tego samego i Geyer składa następującą deklarację: „Na żądanie Delegowanych Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych

Bank udzielił mu jednak nowych pożyczek na cukrownię, chociaż nie ślagał jeszcze całkowicie poprzednich. Te 100 tys. rubli na cukrownię stanowiło krótkoterminową pożyczkę i Ludwik Geyer powinien był ją w następnym roku zwrócić. Nie zrobił jednak tego. Zamiast pieniędzy do Banku złożyć na ręce senatora Morawskiego, Dyrektora Głównego w Komisji Rządowej Przychodu i Skarbu prosił, aby wyjednał mu w Radzie Administracyjnej rozłożenie sumy do spłaty w 3 ratach rocznych, poczynając od 1 marca 1855 roku.

Rada Administracyjna zgodziła się, uważając przecież, że zabezpieczenie długu na zakładach geyerowskich i cukrowni jest wystarczającą rekompensatą dla interesów Banku Polskiego.

Nadszedł 1 marca 1855 roku i Ludwik Geyer zamiast spłacić pierwszą ratę znowu napisał podanie, jeszcze raz prosząc o odroczenie na rok. Rada Administracyjna na skutek opinii Banku Polskiego, który nie chciał doprowadzić Geyera do krachu, bojąc się, że w razie bankructwa nie odzyska pożyczonych sum, znowu się zgodziła. W 1857 roku Ludwik Geyer jed-

Pan prezydent dodał nawet, że Geyer prowadzi życie bardzo skromne... myśli i inwestuje tylko w fabrykę”.

Ta laurka jednak nie zadowoliła Banku Polskiego i dlatego tym razem powołano komisję złożoną z rzeczoznawców. Gdy poznamy nazwiska tych rzeczoznawców stwierdzimy, iż na pewno znali się dobrze na rzeczy. Byli to bowiem panowie Scheibler, Peters i Fisler.

Konkurenci Ludwika Geyera zachowali się jednak wobec niego niezwykle lojalnie. Wszystko porządkie sprawdzili, obejrzyli i stwierdzili, że co prawda niektóre maszyny są już przestarzałe, ale za to utrzymane w doskonałym stanie, tak że „odbiorcy mają w samej rzeczy honor otrzymywać towary od Geyera”. Już nawet po potrąceniu wszystkich długów Geyera, które wyniosły niebagatelną sumę 511 246 tys. rubli 75 i pół kop. jego majątek został oszacowany na 695 tys. rubli. Dług bankowy wynosił zaś tylko 182 429 tys. rubli, wydawało się więc, że zabezpieczenie Banku Polskiego było więcej niż pełne. Bank Polski podzielił ten punkt widzenia, ale uznał

Sens istnienia amatorskich zespołów teatralnych polega na korzyściach jakie dają one swym członkom. Bo wiem widzę tutaj sprawę drugorzędną. Oczywiście, tylko w wypadkach dużych miast posiadających liczne i dobre teatry zawodowe. Wiadomo, że żadna „amatorszczyzna” nie da widzowi tej estetycznej satysfakcji, co „Hamlet” w Teatrze Nowym. Nie mogą tu istnieć żadne wspólne kryteria oceny i nie o nie zresztą chodzi. Inaczej jednak sprawa się ma na prowincji, w Sieradzu, Belchatowie czy przysiółkowej Psiej Wólce. Zespół amatorski spełnia tam także rolę teatru zawodowego, a więc rolę podwójną: i wobec uczestnika i widza. Ale jest to już całkiem odrębne zagadnienie.

Wróćmy zatem na łódzkie bruki. W Łodzi, według danych Wydziału Kultury Prezydium RN istnieje w tej chwili 16 teatralnych zespołów amatorskich. Liczba ta obejmuje zespoły przy zakładach pracy oraz Domach Kultury. Teatry studenckie ze względu na swoją specyfikę zostały „zaksięgowane” oddzielnie. Mamy więc 16 zespołów, o ilości członków raczej zmiennej, tworzącej przeciętną poniżej 20 osób. (w razie nagłej potrzeby, jak np. okolicznościowa akademii dokooptowuje się na gwałt, często, niestety „ciągnąc za uszy”, brakujący personel). Rachunek jest dość prosty. W 700-tysięcznym mieście około 300 osób bawi się w teatr. Raczej niewiele, zważywszy ponadto na zdarzające się zespołom „przestoje”. Np. na kilka miesięcy zawieszili swoją działalność zespół Domu Książki (ul. Piotrkowska 5) z powodu kłopotów w świetlicy. To samo przydarzyło się zespołowi przy zakładach „Elastex” w związku z wzmogłą produkcją (plany, plany!) pod koniec roku.

Hobby teatralne posiada więc raczej charakter elitarny, oczywiście nie tylko ze względu na ilość hobbystów ale i na jego rodzaj. Teatr to sztuka i to sztuka niełatwa, wymagająca od swego wielbiciela z tej czy z tamtej strony rampy, pewnej dozy inteligencji i wiele wrażliwości intelektualnej i uczuciowej. Cechy te, sądzę, można uznać za wspólne dla większości członków amatorskich zespołów teatralnych. Natomiast wiek i poziom wykształcenia bywa bardzo różny. Najbardziej reprezentatywne dla zilu-

tury, gdzie każdy kto „chce grać” zostaje przygarnięty (zespoły przy zakładach pracy tworzą, siłą rzeczy, ludzie obracający się w tym samym środowisku). Tak więc np. w zespole LDK można spotkać ucznia XI klasy, 70-letnią emerytkę i tzw. chuligana, którego uczy się tu nie tylko roli, ale i poprawnego wystawiania się i — dobrych manier. Wyniki edukacji są często zadowalające. Oczywiście ta nadprogramowa a w gruncie rzeczy bardzo istotna praca nad członkiem zespołu wymaga od jego kierownika wiele cierpliwości i pedagogicznego wysiłku. Tych samych zalet wymaga również „leniwa” się tu i ówdzie „gwiazdorstwo”, które instruktor winien likwidować

Zabawa w teatr czyli PSYCHOTERAPIA

zarówno ze względu na dobro samych „gwiazd” jak i zespołu. I oto doszliśmy do pierwszego punktu problemu. Punkt ten, to funkcja wychowawcza amatorskiego zespołu teatralnego. Za punkt drugi można uznać śmiało jego funkcję oświatową. Uczestnik zespołu, obejmując rolę w sztuce, zaznajamia się z jej całością, przyswaja jej jej analizę, dyskutuje nad nią, czyli bierze udział w tak zwanym „nauczaniu” tekstu. Oczywiście, korzyść odniesie tylko wówczas, jeśli tekst będzie wartościowy. I dlatego tekst powinien być wartościowy.

Wiele zależy tutaj od kierownika zespołu. Jeśli nawet zespół decyduje kolektywnie o wyborze sztuki do grania, rzeczą instruktora jest „dyplomatycznie” tym wyborem pokierować.

Winien to więc być nie tylko dobry reżyser, ale i dobry pedagog i człowiek wykształcony. Wysokie wy-

powierzana ludziom przypadkowym. Istnieje przecież w Łodzi przy PWSTiF wydział kształcący reżyserów teatrów niezawodowych. Ciekawe, gdzie ci ludzie pracują? Bo na terenie Łodzi raczej nie...

Jednak nie wszystko, a tylko wiele zależy od instruktora. Wiele również zależy od samych członków zespołu. Charakterystyczne jest, że prawie każdy amatorski zespół teatralny, posiada swój tzw. trzon, to znaczy 2-3 osoby od lat wiernie swemu teatralnemu hobby i swemu zespołowi. Inni przychodzą i odchodzą, prędzej czy później oderwani od zajęć zespołu przez sprawy osobiste czy zawodowe, brak czasu, czy rozczarowanie. Tamci zostają i usiłują zarazić innych swą pasją.

Jeśli im się to nie uda,

zespół kuleje, podupada, czasem umiera, tak jak to się zdarzyło w ZPB im. Marchlewskiego, pomimo świetnych warunków lokalowych (duża sala teatralna z dużą sceną, tak podniecająco działającą na aktorów-amatorów). A bywa i tak, jeśli „akcja” się powiedzie, że trzon rozrasta się do wymiarów całego zespołu, jak to się zdarzyło wśród łódzkich kolejarzy. Na Dworcu Fabrycznym w ubogiej świetlicy z miniaturową scenką trwa od lat ożywiony „flirt z Melpomeną”. Jest on wzruszający w swej ofiarności, oddaniu, poświęceniu. Czasami jednak przeżywa chwile załamania z przyczyn bardzo prozaicznych, bopekuniarnych. W związku z tym, pozwól sobie na małą dygresję.

Otóż sprawa ma się tak. Zespół łódzkich kolejarzy, mając w swym repertuarze kilka wartościowych i dobrze opracowanych pozycji (I nagroda na tegorocznym festiwalu łódzkim) daje czasami płatne przedstawienia poza zakładem pracy, na terenie Łodzi i poza Łodzią. Aktor i scenograf zespołu a jednocześnie kierownik świetlicy przy Dworcu Fabrycznym, skarży się, że te występy

są z reguły deficytowe. Główna tu „wina” władz finansowych, które traktując amatorów na równi z zawodowcami, beztłóśnie egzekwują od amatorów należne sobie 10 proc. dochodu z imprezy. A przecież trzeba opłacić salę, kasjerkę, szatniarkę, obsługę techniczną. Przecież ceny biletów są znacznie niższe, niż na imprezę „zawodową”. W konsekwencji związek zawodowy zmuszony jest do występow swego zespołu dopłacać, czego zbyt chętnie nie czyni i w związku z czym pieniądze na dekoracje do następnej sztuki nie obiegają... Naprawdę, przydałaby się tu jakaś rozsądna ustawa, pomocna władzom finansowym w odrębnym traktowaniu zespołów amatorskich i zawodowych. Kolejarze jednak to ludzie twardzi i nie zmoją ich tak łatwo pieniężne tarapaty. Nie wszystkie jednak amatorskie zespoły teatralne składają się z kolejarzy... A z kogo? O tym już była mowa. Pozostało jeszcze tylko pytanie: co tych ludzi skłoniło do zasilenia szeregów aktorów-amatorów? Kierownicy świetlic, a i sami członkowie zespołów przyznają zgodnie, że nie tyle prawdziwe zainteresowanie teatrem, które raczej zdarza się rzadko, ile chęć wyżycia się. Pojęcie to zawiera w sobie i chęć błysnięcia wśród otoczenia, a choćby tylko we własnym mniemaniu (rzecz niezbędna do życia jak powietrze), i niewyżyte aktorskie ciągotki podniecające sławą gwiazd ekranu i potrzebę realizacji marzenia o jakimś innym, choćby iluzorycznym świecie, który byłby zaprzeczeniem a jednocześnie uzupełnieniem pospolitej codzienności. Cóż za cudowne uczucie, nałożywszy na siebie odpowiedni kostium, czuć się tragiczną i śledką Anielą z „Mazepy” czy pięknym a płomiennie zakochanym, Ferdynandem z „Intrygi i miłości” (oble sztuki w repertuarze zespołu kolejarzy). Ileż własnych wzruszeń, zawodów, bólów i tęsknot można wtedy uwziąć ślić, pięknie i intensywnie przeżyć i — wyrzucić ze siebie, pozbyć się ich często przynajmniej balastu. I dlatego uważam zabawę w teatr za świetną psychoterapię. I sądzę, że jest to tej zabawy (która bywa przecież także ciężka i ofiarna praca) funkcja najistotniejsza. I dlatego po raz trzeci tutaj głosuję za „być” amatorskich zespołów teatralnych. Stanowią one doskonałe antidotum na nerwice, kompleks niższości, „Teresinę”, „Egzotyczną” i zwykłą kłajnę.



Bestsellery miesiąca

O grudniowych bestsellerach książkowych informujemy naszych czytelników z pewnym opóźnieniem, ale jak przewidywaliśmy nie spodzianek raczej nie było. Powodzeniem cieszyły się książki wydane efektywnie i rzecz prosta trochę droższe. Wiadomo, prezenty.

Tak więc bardzo poszukiwany był kapitalny „Komizm” Jana Stanisława Bystronia. Jest to pierwsze powojenne wznowienie znanej pracy traktującej o rodzajach i gatunkach komizmu. Praca ta nie ma nic z napisanej „naukowości” — pisana jest lekko i przystępnie, co zresztą w niczym nie umniejsza jej wartości naukowej. Obawy co do zmian w tekście („Komizm” jest wydaniem zmienionym) nie sprawdziły się. Ot, po prostu wyrugowano parę anachronizmów i uwspółcześniono materiał ilustracyjny. Wydaje się, że praca Bystronia nie na tym nie straciła. Kogo interesują sprawy me-

chanizmu humoru niech z kupnem „Komizmu” raczej się pośpieszy. „Ossolineum” wydało go bowiem w nakładzie zaledwie 4.800 egzemplarzy; cena 95 zł.

Grudniowym bestsellerem były również tuwimowskie „Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksięskie”. I tym razem jest to drugie wydanie (pierwsze ukazało się w roku 1924).

O „Czarach i czartach polskich” tak napisał we wstępie sam Julian Tuwim: „Z dość obszernej literatury dzieł dotyczących czarów i wypisywał autor miejsca najciekawsze i zebrany materiał skleił na przedmową ilustrującą dzieje czarownic i zabobonu w Polsce, same zaś „Wypisy czarnoksięskie” są próbą antologii polskiej literatury magicznej i zawierają przedruki z dzieł arcydzieł”.

Książka jest naprawdę ciekawa i bardzo dobrze się stało, że „Czytelnik” postarał się o jej wznowienie w kapitalnym opracowaniu graficznym Stanisława Zachanizma. Nakład 10.000 kupnem „Komizmu” raczej się pośpieszy, cena 70 zł.

Kiermasz

To chyba dobrze, że pewne imprezy stają się w Łodzi tradycją. Myślmy tu konkretnie o kiermaszu obrazów w lokalu CBWA przy ul. Piotrkowskiej 102. To na pewno b. pożyteczna inicjatywa. Oczywiście nie sądzimy, że dzięki niej znikną od razu z łódzkich mieszkań przeraźliwe kieszki i bohomyzy; to nie taka prosta sprawa.

Stawiamy pytanie. Czy podobne kiermasze nie mogą być urządzone częściej? Nie raz w roku, a powiedzmy cztery. Zważywszy, że ceny obrazów nie są wcale wygórowane, sądzimy, że amatorów malarstwa z prawdziwego zdarzenia nie brakuje. Chodzi tylko o to żeby spróbować. Ryzyko naprawdę niewielkie.

Pomysł „Karuzeli”

W dowcip i pomysłowość twórców „Karuzeli” oraz istniejącego przy tej redakcji „Najmniejszego teatruku świata” nikt chyba nie wątpi, a jeśli nawet takiego osobnika znalazłoby się szybko zapewne zmieniliby zdanie.

Otóż niedawno w rzeczonym „Najmniejszym teatruku świata” odbyła się impreza pt. „Poczęstunek Jarosławem Markiem Rymkiewiczem” (poczęstunek był jak wiadomo urządzony z

okazji nagrodzenia Rymkiewicza przez redakcję „Nowej Kultury”).

Było to frymuśne widowisko, gdzie wszystko się działo na opak. Pisarz był konferansjerem, satyrycy uczenie komentowali wiersze itp., itp. Nawet Marian Piechal zamiast o Rymkiewiczu mówił o czymś zupełnie innym. Zresztą, jak zwykle w życiu rodzinnym, każdy mówi o czym innym. Słowem, było bardzo wesoło.

Co piszą inni

Wszyscy ci, którzy oglądali program teatryku „A KUKU” ubawili się z pewnością setnie. Pomysł „Tryptyku szekspirowskiego” (autor Ryszard Marek) jakkolwiek nienowity zrobiony został dowcipnie i naprawdę b. zabawnie.

Wszystko byłoby więc w porządku, gdyby p. Zbigniew Zabicki nie zechciał w ostatnim numerze „Nowej Kultury” zawołać veto. To oczywiście mu wolno, ale posłuchajcie w jaki wysoki ton uderza autor. „Operacja, tu Zbigniewa Zabickiego uśmieje się również.

koła na Szekspirze jest po prostu wykroczeniem przeciwko kulturze”.

A chodzi, wstyd powiedzieć, o trzy niewinne pastisze jakich w historii literatury dokonywano nieraz i mamy nadzieję będzie się jeszcze dokonywać mimo świętego oburzenia p. Zabickiego. Zresztą, kto widział i świetnie się bawił na ostatnim numerze „Tryptyku szekspirowskiego” niech kupi „Nową Kulturę” z dnia 1 stycznia. Nad ostatnim fragmentem artykułu uderza autor. „Operacja, tu Zbigniewa Zabickiego uśmieje się również.

Pięć lat Wyd. Łódzkiego

Tak, tak. To już pięć lat jak działa w naszym mieście energiczne i żywotne Wydawnictwo Łódzkie. Trudno w niewielkiej informacyjnej notce zawrzeć sumę osiągnięć tej placówki. A byłoby o czym pisać. Chociażby o ciekawej serii książek wspomnieńowych traktujących o historii i o problemach Łodzi (Pamiętniki z getta Łódzkiego, z Radogoszcza czy wreszcie wspomnienia łódzkiego nauczyciela).

Wydawnictwo wypuściło na rynek ponad 30 samych tylko pozycji poetyckich, co — zważywszy że były to prawie wyłącznie tomiki autorów łódzkich — miało niebagatelne znaczenie dla aktywizacji łódzkiego środowiska literackiego.

Słowem, bilans owych 5-ciu lat zamknąć na pewno można wynikiem dodatnim. Z czego tak czytelnicy jak i o prawie dwa lata młodsze „Odgłosy” bardzo się cieszą.

HENRYK MYC

Niepokój

Co jest w skowycie psa
tłukącego się pod mroźnym nocnym niebem
że wychylamy z kwiatów swe ciepłe twarze
i nasłuchujemy?

Co jest w brzęczeniu trzmieła
tego kosmatego silniczka o najwyższych obrotach
bolesnym pisku osaczonej myszy?

Kto zaprojektował architekturę grzyba?
Jaki ogień płonie we wnętrzu jarzębiny?

Elegia niebieska

zginąłem w wypadku motocyklowym
i oto jestem przed tobą boże
wprost z polatanych spodni
brudnej koszuli
nudego miasteczka
z mgieł
z deszczu



wyjęty z ciała
które zostawiłem
smutnym robakom
oderwany od zupy i kartofli
od gorących dziewcząt
ciał kwiatów i motyli
oderwany od woni dźwięków
oderwany od powietrza
odcięty od mózgu oczu uszu
odcięty od światła
przezornością ślimaków
pączkowania drożdży
odcięty od marzeń
poza głupotą osłów
i pracowitością wolów
poza mierzaniem gwiazd i
sentymentalnością księżycą
łękiem saren
drzeniem mchu
nieczujący bezrozumny
białym cieniem
przezroczystym jak parafina
proszę





Mamy już karnawał. Wszystkim paniom (i oczywiście panom) radzimy oglądać magazyn informacyjny „Nie tylko dla kobiet”. Jest tam ciekawy kącik mody karnawałowej. Oto jedna ze ślicznych sukienek balowych. W oryginale te bawelniane koronczki są koloru koralowego. A modelka równie piękna...

TELEWIZJA

Pół żartem, pół serio

Z prawdziwą radością przeczytaliśmy we wtorkowym numerze „Głosu Robotniczego” (W ub. tyg.), że telewizja doszła do porozumienia z Krajową Spółdzielnią Transportowców i wyraziła zgodę na umieszczenie na placu przed dużym studiem, wielkiego parkingu samochodowego, opodal zaś podziemnych garaży dla 200 samochodów stacji obsługi, warsztatów. Na parterze drukodługocennego budynku znajduje się pomieszczenie administracyjne stacji garażowo-samochodowej, poczekalnie dla klientów, pokoje wypoczynkowe itd. zaś na pierwszym piętrze pracować będą twórcy w redakcjach telewizji nasi koledzy dziennikarze, literaci, montażyści, reżyserzy itd.

W sprawie budowy tego kombinowanego obiektu samochodowo - telewizyjnego podjęta już została uchwała Rady Narodowej naszego miasta.

Nie zamierzamy tutaj podważać słuszności decyzji radnych i specjalistów od architektury. Oni wiedzą na pewno najlepiej gdzie powinna być usytuowana taka placówka jak telewizja. Oni napewno wszystko przewidzieli i dowiedli, że hałas dobiegający z podziemnych garaży, szum wiertarek, sył palników acetylenowych, aparatów do mycia, pompowania paliwa, pól do cięcia blachy, jak również motory mane-

wrujących po parkingu samochodów nie przeszkadzają w niczym pracy studia telewizyjnego. Nie będzie to też plaga dla redakcji, których praca wymaga ciszy, o to zaś trudno na pierwszym piętrze budynku mieszczącego na parterze hotel, bary i biura zupełnie innego przedsiębiorstwa.

Cheśmy tylko zwrócić uwagę, że gdzieś indziej na świecie panuje moda budowania obiektów radiowo-telewizyjnych poza miastem, a przynajmniej jak najdalej od jego szumu i hałasu. U nas telewizja została zlokalizowana wcześniej w wieżowcu i jak dotąd miała tam taki taki spokój. Teraz będzie inaczej.

Portier nowootwartej w Łodzi kawiarni „Agawa” zażądał raz od pewnej starszej pani zdjęcia futra przed wejściem na salę kawiarni. — Na całym świecie nie ma takiego zwyczaju — odpowiedziała zdumiona kobieta. — Na całym świecie tak — odparł portier — ale tu jest Łódź.

Tak, Tu jest Łódź.



MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Apostoł i szarlatan

Słyszysz się nieraz takie zdania: „Kłamstwo ma krótkie nogi, prawda sama zwycięży” albo „Zło samo się pogrzebie, dobre zawsze w końcu zatrumfuje”. Otóż oba te zdania, aczkolwiek miłe dla ucha, są jak najbardziej fałszywe. Są nawet niebezpieczne, gdyż usypiając naszą czujność schlebiają naszemu lenistwu. Wiadomo bowiem, że ani prawda, ani dobro nie zwyciężają same przez się, nie triumfują nigdy bez naszego czynnego poparcia, że potrzebują siły ażeby zwyciężyć kłamstwo, które nie raz ma bardzo długie nogi, i zło, które bynajmniej nigdy samo się nie grzebie, jeśli jego przeciwnicy świadomie mu w tym nie pomogą.

Przykład? Przedkolumbijskie państwa Indian w Ameryce: Inków i Azteków. Przecież po ich stronie była prawda i słusność, a nie po stronie bandyckich konkwistadorów hiszpańskich, którzy mieli za sobą kłamstwo i niesprawiedliwość, a jednak Hiszpanie zwyciężyli i to tak, że dziś z państwa Inków i Azteków nie zostało ani śladu. Dlaczego? Bo prawda i słusność Indian nie poparte były siłą w tym stopniu, w jakim poparte były nia kłamstwo i niesprawiedliwość Hiszpanów.

Jaki stąd wniosek? Gorzki, niestety, ale jedyny, że prawda i dobro, ażeby zwyciężyć, muszą być silne — silniejsze od kłamstwa i zła. że prawda i dobro same przez się nie zwyciężają, że są skuteczne tylko wtedy, gdy stają się mieczem w ręku siły. Gdy siła znajduje się po stronie kłamstwa i zła, może się stać niebezpieczna dla prawdy i dobra. Wznieśliśmy to na przykładzie faszyzmu i Hitlera. Wszyscy, a przynajmniej większość ludzi na świecie, wiedzieliśmy, że faszyzm i Hitler posługują się kłamstwem i złem, a jednak musieliśmy ulec ich chwilowemu triumfowi, albowiem po ich stronie była siła. Dopiero kiedy tej ich siły została przeciwstawiona jeszcze większa siła z naszej strony, strony prawdy i dobra — padł faszyzm i Hitler czyli kłamstwo i zło.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej niektórzy rozumniejsi publicyści i literaci ostrzegali społeczeństwo przed zbyt bezrefleksyjną wiarą w samoczynny triumf prawdy i dobra. Wzywali słusznie do organizowania siły w celu odparcia ataków kłamstwa i zła. Dowiedzieli, że tragedia polega na tym, iż prawda i dobro są słabe, a kłamstwo i zło są silne, i że ten stosunek trzeba odwrócić, gdyż inaczej grozi światu zagłada. Ze się tak nie stało — zawdzięczamy to utajonej pomocy strony prawdy i dobra, która została odkryta i wybuchła w trakcie samej walki z kłamstwem i złem.

Powtarzam więc, że w stosunku do kłamstwa i zła trzeba być zawsze czujnym i nigdy nie ustawać w czynnym popieraniu prawdy i

dobrych, w organizowaniu siły po ich stronie. Czytelnicy wybaczą mi to zbyt może przydługie kaznodziejstwo, ale prócz wrodzonych skłonności, natchniono mnie do niego podczas świąt noworocznych przeczytanie wspomnień Zofii Komierowskiej szwagierki wielkiego Poety Cypriana Norwida, po raz pierwszy ogłoszone w całości pt. „Dziennik paryski z roku 1853”.

Miedzy bardzo ciekawymi spostrzeżeniami na temat Paryża, jego uroków i życia naszej Wielkiej Emigracji, znajdujemy kilka relacji z osobistych spotkań autorki z Mickiewiczem i Towiańskim. Mickiewicza wraz z jego przyjaciółmi, a więc słynnym generałem Ludwikiem Mierosławskim, Bohdanem Zaleskim, Teofilem Lenartowiczem, Sewerynem Goszczyńskim, Aleksandrem Chodźką i sławnym później malarzem Henrykiem Rodakowskim, kilkakrotnie przyjmowała u siebie, bywała też często w domu Mickiewiczów. U Towiańskiego była tylko raz jeden i jedyny. Jej trzeźwy rozsądek i kobleca intuicja od razu odróżniły apostoła prawdy i dobra, Mickiewicza, od szarlatana kłamstwa i zła, Towiańskiego.

Do złożenia hołdowniczej wizyty Towiańskiemu nakłonił autorkę Mickiewicz, który widział w nim ministra nowego objawienia prawdy i dobra. Powodowana wielkim kultem dla osoby i pozycji autora „Pana Tadeusza” Komierowska złożyła tę wizytę Towiańskiemu, który dowiedziawszy się od niej, że jest młodszą od swego męża o lat dwadzieścia, zwoinił ją stante pede od obowiązku wierności małżeńskiej, dając do zrozumienia, że doskonale może jej męża zastąpić. Zabrał się nawet do pocałunków wcale nie mistycznej natury. Ogarnięta wstrętem ucieka od niego i o wszystkim opowiedziała Mickiewiczowi.

I jak sądzicie, moi drodzy, co jej odpowiedział Mickiewicz? Po prostu wzruszył ramionami. Nie uwierzył. Tak wielka była siła szarlatana, korzystającego ze słabości apostoła oświeconego po dotychczasnych klęskach i zawodach apatii i bezwoli, i szarlatan zdawał się chwilowo zwyciężać. Komierowska notuje: „Słuchając tych wszystkich bredni (Towiańskiego), mimo woli myślałam sobie, jak ten człowiek mógł pozyskać tak wielkich ludzi, jak Mickiewicz?” I dodaje, że widząc „duma i pycha wielkiego człowieka nie pozwalała mu przyznać się do własnej pomylki”.

A więc czuwajmy! Bo jeśli nawet Mickiewicza mogło zwieść kłamstwo i zło, to o tym popieraniu prawdy i

Nasza niespodzianka karnawałowa

Nie mogąc sprawić czytelnikom naszej kolumny samochodów, ani nawet fraków, czy kryminałów, nie widać też z drugiej strony większego sensu w rozdawaniu na prawo i lewo ciągle psujących się telewizorów — postanowiliśmy mimo wszystko „szarpnąć się” na małą, maleńką niespodziankę.



Czytelnik studiujący niniejszy artykuł zauważył zapewne już na pierwszy rzut oka, że — mówiąc fachowo — wzmiankujemy zdjęcia niepokojąco wyglądających panów. — Kto oni znasz? — zapytuje czytelnik.

Otoż właśnie — ci dwaj panowie stanowią naszą niespodziankę. Odszukaliśmy ich z niemałym trudem gdzieś na peryferiach naszego miasta. Nie znali się ze sobą i dopiero za naszym pośrednictwem nastąpiło miłe spotkanie.

Ludzie ci są dzisiaj starzy, a zajeżdżone podobizny odwołują się do bardzo już odległych czasów — nie próbujcie ich tedy ani odszukać, ani rozpoznać. Obiecujemy wam jednak, że będą mówić do was fachowo z naszych tamów i to mówić na temat najbardziej ciekawego się telewizora — na temat „Kobry”.

Fachowo, ponieważ i pan Gaston i pan Idzi mają za sobą bujną i awanturniczą przeszłość, może nie tak bujną i awanturniczą jak żywot recenzenta telewizyjnego — ale zawsze.

Gaston (nazwisko i adres znane redakcji) jest z pochodzenia Polakiem, ale wychowywał się i większość życia spędził w Anglii. Służył tam i króci wziętym w najlepszych domach, po kilku latach praktyki zaczął uprawiać włamanie, następnie spróbował szantażu, trucieliściwa, duszenia swoich chlebodawców i temu podobnych zbrodni pospolicznych w Albionie. Zawsze był gentelmanem, człowiekiem światowym, znakom-

cie wychowanym i dbającym o najsubtelniejsze odienie przepisów towarzyskich. Po dziś dzień ubierał nad tym, że w dniu otwarcia karnawału dokonał włamania w ordynaryum tutejszego miast we frak; nie mógł również zapomnieć chwili, w której po raz pierwszy zastrzeżenie wspólnota siegając po rewolwer do kieszeni spodni.

Gentelman nigdy nie slega w towarzystwie do kleszn od spodni — stwierdza kategorycznie p. Gaston.

Tak przedstawia się sylwetka psychiczna naszego nowego współpracownika, natomiast jeżeli chodzi o jego losy, to ślady



nie zlapany przez policję (stnie- je jednak „zbrodnia doskonała”) już po wojnie powrócił p. Gaston do rodzinnej Polski, gdzie żyje z własnych funduszy w skromnej, szesnastopokojowej willi.

Inaczej układają się losy Idzigo (nazwisko i adres również znane redakcji). Ten wybitny kłóś nożownik, a w chwilach wolnych od służbowych zajęć również i kieszonkowiec, wielokrotnie zapoznał się z całą wielozna, nikt jednak jak on, nie opanował trudnej sztuki opuszczania niewygodnej przyczepy za grubymi murami w chwili, która wydała się mu ku temu właściwa. Bywało to zazwyczaj z nadmiernym wiosem — siły witalne wzbierały w nim wówczas, czuł że towarzyszyom potrzebna jest jego rada, jego piasek, jego majcher — i Idzi przysłał.

Obecnie również jest na emeryturze, udziela czasami korepetycji początkującym chuliganom, nie daje to mu jednak — jak twierdzi — pełnej satysfakcji. Dlatego kupił sobie — podobnie zresztą jak i p. Gaston — telewizor i pilnie śledzi wszystkie audycje.

Z rad i uwag wspomnianych panów — oczywiście tyżonych słownie, choć może nie wyrażnie „Kobry” — będziemy tedy korzystać począwszy już od najbliższych numerów.

(j.p.)

Teatr niemej widowni

dobal, wrzaskliwej i obrażającej, gdy był nie udany. Tak więc reżyser, aktor i autor telewizyjny mają prawo do zadowolienia wtedy, gdy ich dzieło kwitują cicho, czasem dwa telefony od znajomych, po paru dniach małe recenzje w niektórych gazetach. Wiele tygodni trudnej pracy, dziesiątki prób, zmudny cykl produkcyjny o tekście począwszy poprzez muzykę, nagrania play-back, dokrętki filmowe, światło, kostiumy o prawę plastyczną, próby kamerowe itd., wszystko to tonie w cichej wale eteru.

Wychowani na tradycyjach, które każą hucznie nagradzać każdą rzecz udaną, czytamy w kronikach teatralnych, które chętnie wymieniają ile to razy po takim a takim spektaklu kurtyna szła w górę, jak to zbiorowy szal i entuzjazm ogarniał widownię — reżyserzy telewizji mają prawo, przynajmniej na razie, czuć się upośledzeni i pokrzywdzeni. Wprawdzie telewizja zawiera w sobie i teatr z jego aktualnością żywej akcji i

film z jego tradycyjnymi formami, ale ani laury teatralne, ani filmowe są w końcu niedostępne dla twórców teatru telewizji. Przynajmniej przy dotychczasowym stanie techniki zapisu obrazu, kiedy spektakl przewidziany jest najwyższej na dwie prezentacje, a nie na setkę jak w normalnym teatrze i nie na tysiące seansów jak w filmie.

Zarówno teatr jak i film są tymi gatunkami sztuki, które przeżywa zbiorowa widownia, a jej reakcje mogą być aktualnie obserwowane przez twórców widowiska. Mogą oni natychmiast przekonać się o sukcesie lub fiasku swego dzieła. Teatr Telewizji, na którego widowni zasiada w tym samym czasie milion widzów oddziaływuje w końcu na odbiorcę doskonale indywidualnego. Trudno u takiego wywołać zbiorową ekstazę. Telewizja obejrzysz sobie w telewizji, czy w kinie, czy w kawiarni, czy w tramwaju.

O wyprzecganii koni w powozie autora nie ma mowy. Można co najwyżej takiego — widza sybaryty ciężko przestraszyć jak to było w wypadku audycji o naloce Marsjan na USA, lub też zdenerwować złym przedstawieniem. Wtedy reaguje on żywo. Ale zadowolony milczy i mruczy jak syty niemowlak.

Prasa codzienna wciąż jeszcze nie przywiązuje należytej wagi do krytyki pożyty teatralnych i wszelkich innych prezentowanych na telewizyjnych ekranach. Recenzje zamieszczane są z znacznym opóźnieniem. Tylko niektóre pisma konsekwentnie zamieszczają takie pozycje. Nie jest to sprawa błaha. Właśnie prasa codzienna, tygodniki również, ale one mają swoje usprawiedliwienia na spóźnienie, powinna w imieniu setek tysięcy odbiorców jak najbardziej kwitować odbiór krytyki i dawać ich ocenę. A o konstruktywnej roli krytyki nie potrzeba tu dyskutować.

WIESŁAW MACHEJKO



Znakomita piosenkarka Rena Rolska po powrocie ze Stanów Zjednoczonych wystąpiła przed kamerami Telewizji Łódzkiej.

Fot. L. Lyszkowski

Kiedy po teatralnej premierze opadnie kurtyna rozlegają się oklaski, albo — powiedzmy — gwizdy. Po ich silie reżyser, autor i aktorzy mogą się zorientować czy odnieśli sukces, czy nastąpiła kłapa. Teatr Telewizji jest teatrem największej widowni. Widowni niemej. Przynajmniej w pierwszej chwili po zakończeniu spektaklu. Jest teatrem widowni okrutnej. Mleczące, gdy spektakl się po-

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamawia wierszy i nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosz” O Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. O Zam. 11. I. 1981 r. L-12

Powszechnie utrzymuje się opinia, jakoby twórcy nie interesowali się ani teoriami estetycznymi, ani sądami krytyki. Opinia w dużej mierze prawdziwa. Ale dziwnym trafem, istnieje zawsze ścisły związek między twórczym fermentem intelektualnym i ideowym, a obywatelstwem się nowych kierunków i indywidualności artystycznych. Tak było w wypadku neorealizmu włoskiego, który poprzedziła ożywiona działalność młodych krytyków i teoretyków skupionych wokół pism „Cinema” i „Bianco e Nero”. Tak było z francuską „nową falą”, która wyrosła w oparciu o teoretyczne koncepcje Bazina, o poglądy krytyków z grupy „Cahiers du Cinema”, którzy w pewnym momencie zmieniły nawet plura na kamerę. I amerykańska „nowa fala” ukształtowała się w ogniu po-

cieli ich cenzurki. Oni i gniew? Raczej wcielenie pobłażliwości i oportunistów! Chwała zawsze uznane świętości, ganią te, które ganić jeszcze wypada. Trochę kokieterii, szczypta snobizmu i mnóstwo dobrego tonu. Wszystko „comme il faut”.

A nasi młodzieńcy? Czy któryś z nich ośmieliłby się powiedzieć, że im się Wajda albo Munk nie podoba, albo powiedzmy Fellini, Bergman, Kurosawa? Strach pomyśleć! To nie Francja, panowie, to nie „Cahiers du Cinema”, które w imię wyboru określonej koncepcji sztuki filmowej, pozwalają sobie szargać uznane wielkości reżyserskie (choćby Cialra) i forsować inne miano, okrzykane. U nas chwali się wszystkich jednym tehem, Wajdę, i Munka, i Hasa, i Kutzę, i Kurosawę, i Truffaut, bo wszyscy są zdolni i talentowani. A o talencie, jak i o nowocześnieści, pisać można nieskończenie i „niekonkretnie”.

Tymczasem krytyk z prawdziwego zdarzenia, musi posiadać rzeczowe, uchwytne kryteria wartości. A o kryteriach nie ma mowy bez wyboru określonej koncepcji artystycznej. Tylko taki wybór pozwala uściślić terminy i ich zakresy. Z drugiej strony prawdziwa twórcza krytyka nie może istnieć bez głębokiego zaangażowania się, bez autentycznej pasji, bez „wsieckości”. Właśnie taka krytyka, właśnie selekcja się ostrych, skrajnych, burzących dotychczasowe konwencje poglądów, tworzy klimat intelektualnego i artystycznego wrzenia, klimat sprzyjający powstawaniu wielkich dzieł sztuki. Wątpię natomiast, czy ta fala letniej, różnowawej wody na jakiejś nosi się nasza krytyka, stworzy, może zaplecze dla zjawiska, które chcielibyśmy widzieć jako „Polską Szkołę Filmową”.

Zespół redakcyjny czasopi-

KWARTALNIK FILMOWY

lemik i dyskusji, jakie toczyli nowojorscy „wsieckiel” krytycy na łamach „Cinema 16” i „Film Culture”. A u nas? Skoro tak często mówi się o tzw. polskiej szkole filmowej, to czy można również mówić o jakimś filmowym ruchu intelektualno-artystycznym, z którego czerpie ona swe pośrednie lub bezpośrednie korzenie?

Ruch tego rodzaju wiąże się jak to widać z wymienionych przykładów, przede wszystkim z prasą filmową, jako trybuna poglądów krytyki i ośrodkiem swobodnego grupowania się przedstawicieli różnych zapatrywań. Istnieją u nas w zasadzie trzy (oprócz „Wiadomości Filmowych”, które jako rekla-

Bez tłumika o tzw. „KRYTYCE WARSZAWSKIEJ”

mówka CWF nie wchodzi tu w rachubę) czasopisma filmowe. Dwa tygodniki ilustrowane „Film” i „Ekran” oraz „Kwartalnik Filmowy” firmowany przez Instytut Sztuki PAN, skupiające cały kwiat naszej teorii i krytyki filmowej.

Ponieważ wydaje się dwa tygodniki, a więc na zdrowy rozum biorąc, powinny się one zasadniczo od siebie różnić, reprezentować jakies odmienne koncepcje modelu prasy filmowej. Powiedzmy, niech jeden będzie ilustrowanym magazynem dla szerokiego mas, a drugi niech poświęci się krytyce z tzw. ambicjami, krytyce aktualnej i wojującej (o ile przyjmujemy, że „Kwartalnik Filmowy” jest organem ściśle naukowym i akademickim). Nawiasem mówiąc, źle się dzieje, gdy tak młoda jeszcze dziedzina wiedzy, jak filmologia, z taką powagą i taką dretowatą celebruje swą „naukowość”.

Wracajmy jednak do tygodników. Na razie zajmują się one po trochu wszystkim, czyli właściwie niczym. „Film” jest nieco bardziej poważny, dostojny, współpracuje z ludźmi cenionymi już i uznanymi. „Ekran” skupia wokół siebie „młodzież”, jest żywiej i z lekkim przymrużeniem oka redagowany, bardziej frywolny (w szlachetnym tego słowa znaczeniu). Poza tymi niewielkimi różnicami obydwa pisma gorliwie przestrzegają tych samych recept: trochę rozebranych gwiazdek dla pokrzepienia serc, parę dyskusyjnych artykułów (najlepiej o współczesności albo nowocześnieści), parę wywiadów z twórcami rodzimymi i obcymi (jak się akurat któregoś da złapać) parę reportaży z realizacji najnowszych polskich filmów, parę ogólnikowych korespondencji zagranicznych, parę aktorskich sylwetek, jakiś felietonik na deser i to chyba wszystko. „Ekran” od czasu do czasu publikuje ciekawe pozycje historyczne („Na ekranie wspomnień”, artykuł o polskiej awangardzie W. Banaszkiewicza, „ze ścieżki dźwiękowej”). To jedynie, jak się zdaje, echo nauk jakie wynieśli „ekraniści” ze Studium Teorii Filmu.

Nie tylko krąg zainteresowań, ale i sposób ujęcia rozmaitych zagadnień świadczy o tym, że zarówno „starzy” (bez żadnych złośliwych aluzji) z „Filmu”, jak i „młodzi” krytycy z „Ekranu” są jednakowo eklektyczni, jednakowo akademicy i „letni”. Nie bardziej paradoksalnego, jak określenie 9 wybitnych krytyków miłanem „9 gniewnych”. Czyliacie prze-

śma poświęconego zagadnieniu sztuki łącząc winna wspólna platforma ideowo-estetyczna. Dopiero w oparciu o taką platformę mówić można o różnicach poglądów i indywidualności. Tylko o takich czasopismach wspomina się na kartach historii sztuki.

W wypadku dwóch omawianych tygodników sprawa doboru współpracowników wydaje się również być kwestią przypadku. Te same nazwiska spotykamy i w „Filmie” i w „Ekranie” (choćby Plazewski, Eberhardt, Bukowiecki, Wertenstein, Gawrak, Morawski). Ci sami ludzie raz po raz sami sobie przeczą w swych wypowiedziach. Warto by się nawet pokusić o wydanie wyboru artykułów jakiegoś wybitnego krytyka. Byłaby to publikacja co najmniej zabawna. Brak wewnętrznej konsekwencji jest zresztą logicznym skutkiem tego, gdy pisze się wszędzie o wszystkim bez określonego kierunku i bez określonych podstaw estetycznych.

To samo dotyczy „Kwartalnika Filmowego”, który na szczeblu PAN-owskim reprezentuje również jałowy eklektyzm. Nie ludźmi się, eklektyzm nie jest dowodem liberalizmu, ale raczej ograniczonej i ubóstwa duchowego. W obliczu istniejących różnorodnych nurtów sztuki filmowej, należy jednak zająć jakieś stanowisko. „Kwartalnik” nie zajmuje żadnego. Nawet sam dobor materiału świadczy o chaotyckości i braku koncepcji (np. nr 2/60. A. Helman — „Filmy Eisensteina i Prokofiewa jako nowa forma sztuki syntetycznej”, C. Duncan — „Mit i historia w filmie australijskim” R. Dreyer — „Oberhausen GO”). Tzw. numery specjalne poświęcone problemom aktora, operatora i scenarzysty filmowego dają niestety, mimo kilku interesujących marginesowych spostrzeżeń, nader ubogą materiał naukowy, wymijającą i nieprecyzyjną bazę teoretyczną (warto porównać choćby z świetnie opracowanym numerem specjalnym „Bianco e Nero”, poświęconym zagadnieniu muzyki filmowej). Okazuje się więc, że i Zakład Filmu przy PAN nie reprezentuje żadnej zaangażowanej teoretycznej grupy.

Obawiam się, że jest to zjawisko niepokojące. Nie tylko artyści, ale także teoretycy i krytycy muszą mieć coś do powiedzenia. Inaczej przecznię będziemy coraz głębiej w prowincjonalny i epigonalny bagienko rozmatniający — i zmówi jałowych — sporów na temat współczesności i nowocześnieści.



Okruchy historii

Greta Garbo

Jej prawdziwe nazwisko brzmi Gustafsson. Wielka aktorka urodziła się w Sztokholmie 18 września 1905 r. Pierwszą rolę filmową powierzył jej reżyser Stiller w filmie „Gösta Berling” zrealizowanym w 1922 r. Filmem tym Greta Garbo zwróciła uwagę reżyserów Europy i Hollywoodu. W roku 1925 reżyser Pabst realizuje z nią „Zatraconą uliczkę”. W tym samym roku Greta Garbo przenosi się do Hollywoodu, gdzie kręci wszystkie swoje następne filmy: „Słownik hiszpański” (rok 1926), „Kusicielka” (1926), „Symfonia myśli” (1926), „Anna Karenina” (1927), „Boska kobieta”, „Żar miłości” (1928), „Władczyni miłości”, „Dzika orchidea”, „Pokusa”, „Pocalunek” (1929), „Anna Christie” (1930), „Natchnienie”, „Zuzanna Lenor” (1931), „Jaką mnie pragniesz”, „Mata Hari”, „Ludzie w hotelu” (1934), „Anna Karenina” (1935), „Dama kameliowa” (1936), „Pani Walewska” (1937), „Ninotschka” (1939), „Dwulicowa kobieta” (1941).



Przyczyna porażki reżysera Eduardo de Filippo wydaje się być przesadne zaufanie do doskonałego scenarzysty, którego jednym ze współautorów jest Federico Fellini. Scenariusz „Fortunelli” nie przedstawia takich wartości treściowych i formalnych, co ezotowe dzieła Felliniego; jest tylko parafrazą na temat „La strada”, „Noe Cabirili”.

Zahukana Fortunella marzy o swym nieznanym ojcu, ułożsamiłaję go z księciem, którego zna z widzenia. Wierzy, że jest księżniczką. Chce wydostać się ze swego środowiska, zerwać z kołankiem i współnikiem straganianckiego interesu. Podobnie jak mała prostytutka w „Noe Cabirili”, znajduje Fortunella realizację swego marzenia tylko w teatrze w scenicznej roli księżniczki, która będzie mogła grać. W postaci Fortunelli bez trudu odnajdziemy Gelsominę i jej samotność; odnajdziemy Cabirile

pragnącą własnego domu, kochającego męża i rodziny.

Te analogie nasuwają się nie tylko dzięki scenariuszowi, ale w znacznym stopniu również dzięki Gelsominie Massinie, jej aparycji. Popularna aktorka nie znalazła niestety, nowej formy interpretacji dla tego rodzaju roli. Massina w każdym geście, grzmie twarz powtarza swe wielkie kreacje. Powtarzanie jednak nawet najlepszych ról ma to do siebie, że po prostu nie jest ciekawe.

Usprawiedliwić należy Eduardo de Filippo, który jako skądinąd dobry i znany reżyser teatralny oraz aktor, uległ wielkości filmowej pary: Massina — Fellini i zdał się w swej reżyserii tylko na wypróbowane, ograniczone schematy. Skutek tego — zbyt akademicka reżyseria, tania dramaturgia i ospale tempo.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK



EKRANIK

„KANDYD” — uroczą opowieść satyryczną Woltera została we Francji przerobiona na film. Co ciekawsze — akcję przeniesiono w czasy dzisiejsze, rzecz dzieje się w latach 1939—60, w Paryżu, Nowym Jorku, Aleksandrii. Nicieć etc, a sympatyczny prostaczek przeżywa pasjonujące przygody, między innymi jako więzień „stalagu”, uciekinier przed Gestapo itd. Na świetny pomysł uwspółcześnienia „Kandyda” wpadł Norbert Carbonnaux — który też napisał scenariusz i reżyseruje film. Carbonnaux należy do stosunkowo mniej znanych reżyserów, za to w obsadzie aż się roi od popularnych nazwisk: rolę tytułową gra Jean Pierre Cassel, Panglassa — Pierre Barsseur, pułkownika Nanar — Michel Simon.

W epizodycznej roli faszystowskiego dyktatora występuje... Tino Rossi — tak, sławny piosenkarz, „śpiewak nieznany”!

ELIA KAZAN kręci obecnie film o dość niezwykłym tytule „Wspaniałość w trawie”. Znowu film o miłości wśród współczesnej młodzieży, ale — jak twierdzi reżyser — pokazany zupełnie inaczej, bez oskarżeń i potępienia, optymistycznie. Nowy film Kazana jest oczekiwany w USA z wielkim zainteresowaniem; nie dziwnego — znakomity i subtelny reżyser jest od lat uważany za „nadzieję” amerykańskiej kinematografii, a jego dzieła na ogół spełniają tę opinię. W Polsce oglądaliśmy tylko jedną pozycję z bogatego dorobku tego reżysera, „Na zachód od Edenu”. Niestety — głucho na razie o sprowadzeniu innych świetnych filmów Kazana — „Na nadbrzeżu”, „Viva Zapatta”, „Tramwaj zwany pożądaniem”, „Układ dżentelmeński”, „Pinky”.

„PRAWDA” — okrzykany film Henri-Georges Clouzota — ciągle ma rekordową frekwencję w premierowych kinach Paryża. Oczywiście — niemal reklamy przysporzyła filmowi próba samobójstwa Brigitte Bardot. Ale nie tylko ten smutny fakt zdecydował o sukcesie — krytycy bardzo wysoko oceniają, reżyserie Clouzota i kreację Bardotki. Na najbliższym z festiwalu, w Cannes — Francja nie przedstawi jednak „Prawdy”, typowane są raczej filmy „nowej fali”: „Zazie w metrze”, dość niezwykła komedia Louis Malle'a (w Polsce znamy jego ciekawy film „Winda na szafot”), oraz „Ich dwoje” reż. Jean-Pierre Mocky, drapieżna opowieść o rozkładzie pewnego małżeństwa.

ROBERTO ROSSELLINI — twórca „Rzym — miasto otwarte” i „General della Rovere” (kiedy, ach kiedy ujrzymy ten film u nas?) — przystępuje do realizacji „najbardziej ambitnego w mojej dotychczasowej karierze” — jak to sam określił — filmu o włoskim bohaterze narodowym, Garibaldim.

„DOLA CZŁOWIEKA” — doskonale znana i w Polsce powieść Andre Malreaux — zostanie w bieżącym roku sfilmowana. Reżyserować będzie Peter Brook, twórca głośnego ostatnio filmu „Mederato cantabile”.

DONALD

Dama Kameliowa

Cielki i lżawy jest ten film stworzyć postać kobiety melodramat reż. Cukora skazanej na śmierć, a kochającej zrealizowany wg tak cej życie. Potrafiła wydobyc samo ekliwej powieści wiele ludzkiej prawdy. Scena Aleksandra Dumasa-syna. Hi-spoliczkowania, czy też rozmo-

stori Malgorzaty Gautier, wa z ojcem Armanda są maj-streszczać nie /potrzeba, zaś sterszytkami aktorstwa filmo-film Cukora z r. 1936 nie wogo. Jakże tragiczna jest sce-grezyz anś rewelacyjną na śmierci i jak oszczędnie za-reżyseria, ani wielką kul-grana!

W całym tym pachnącym już myślką filmie, tytułowa rola w interpretacji Greta Garbo jest jego jedyną wielką wartością. W sumie „Dama Kameliowa” to pozycja klasyczna w historii kinematografii światowej z kreacją aktorską zdolną konkurować z najlepszymi współczesnymi kreacjami filmowymi. Z mowymi.

A. N.